



**Jerzy
Parfiniewicz**

**DWA
WCIELENIA
MORDERCY**



**Jerzy
Parfiniewicz**

**DWA
WCIELENIA
MORDERCY**

**WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ**

Okladkę projektowała

TERESA KAWINSKA

Redaktor

WANDA STEFANOWSKA

Redaktor techniczny

RENATA WOJCIECHOWSKA

Parfiniewicz Jerzy: Dwa wcielenia mordercy.

Wwa 1974

Wydaw. Min. Obrony Nar.

16°s. 160 – Labirynt

Powieść polska – XX w.

884–31

Współczesna powieść sensacyjno-szpiegowska.

Pięć tysięcy czterysta sześćdziesiąta druga

publikacja Wydawnictwa MON

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa obrony Narodowej

Warszawa 1974 r.

Wydanie I

Nakład 120 00C+343 egz.

Objętość 6,41 ark, wyd , 5,0 ark, druk.

Papier druk, sat. V kl. 65 g, format 61X86/32.

Zakłady Celulozowo-Papiernicze

im. J. Marchlewskiego we Włocławku.

Druk ukończono we wrześniu 1974 r.

Wojskowa Drukarnia w Łodzi.

zam, nr 565 z 5 marca 1974 r.

Cena zł 10.–

C-6

ROZDZIAŁ I

Jestem już zmęczony... Czy to normalne? Mam przecież dopiero czterdzieści pięć lat. Co jest tego powodem? Praca? Raczej nie... Pracę mam trudną, odpowiedzialną, absorbującą. Nie wiem nigdy, kiedy wrócę do domu, kiedy będę musiał wyjechać z miasta na kilka dni, kiedy zaskoczy mnie niespodziewany telefon i przerwie zasłużony wypoczynek. Mimo to jestem gotów stawić się na każde wezwanie i natychmiast przystąpić do pracy, która nigdy nie jest nudna i jednostajna. Wiem, że dziś czy za dwa dni będę robił zupełnie co innego, niż robiłem wczoraj... Czy taka praca nie męczy? Cóż za pytanie! Wyczerpuje, zwala z nóg, ale mnie się podoba. Ani przez chwilę nie mogę pozwolić sobie na lenistwo, na rozprzężenie uwagi. Na odłożenie sprawy na później. Mój umysł musi pracować bez przerwy... Muszę pamiętać o najdrobniejszych szczegółach... Potem zestawiam je w misterną całość.

Po przeciwnej stronie biurka siedzi człowiek. Obserwuję twarz bez wyrazu, każdy gest, każde drgnienie mięśni jego twarzy... Muszę zwrócić uwagę nie tylko na to, co mówi, ale również na to, jak mówi. Chwila nieuwagi z mej strony, przeoczenie jakiegoś gestu,

zmiany intonacji głosu może doprowadzić do zniweczenia wysiłku wielu ludzi. A do tego nie mogą dopuścić. Mogłoby to pociągnąć za sobą nowe ofiary... Taka praca szarpie nerwy, ale nie nudzi. Nie zamieniłbym jej na żadną inną. Że ciągle obcuje z brzydota, z ludzkimi ułomnościami? To prawda! Poznaje życie człowieka od jego najgorszej strony. Alkoholizm i wynikające z niego konsekwencje: degeneracja, nędza, upodlenie, zezwierzęcenie i zbrodnia – to sprawy, które trafiają do mnie Zastanawiam się, dlaczego stykając się z tym bez przerwy sam pozostaję nadal człowiekiem... Człowiekiem uczciwym. Może na tej zasadzie, na jakiej ucieka się z zadymionego, dusznego, zatłoczonego miasta na otwartą przestrzeń. Między drzewa, jeziora, kwiaty.. Im duszniej, tym większa tęsknota za wolną przestrzenią, tym bardziej doceniamy ożywczy zapach łąk i lasów.

Od dzieciństwa natura ciągnęła mnie na swoje łono. Upłynęło 25 lat od dnia, w którym byłem na wycieczce. Organizacja młodzieżowa, do której wówczas należałem, urządziła majówkę. Poznałem wtedy studentkę Akademii Sztuk Plastycznych. Wydała mi się zjawą nieziemską, nimfą, aniołem. Zakochałem się. Nie bez wzajemności. Pobraliśmy się. Żona skończyła studia. Mamy dwoje dzieci: dziewczynkę i chłopca. Czy miałem jakiś wpływ na ukształtowanie swego losu? Czy znając obowiązki wynikające z mojego zawodu mogłem myśleć o założeniu rodziny? Czy postąpiłem słusznie? Teraz mam wiele wątpliwości. Wówczas jednak był to jedyny cel, który pragnąłem osiągnąć. Robiłem wszystko, aby zapewnić rodzinie dostatni byt, by jak najlepiej wychować swoje dzieci. Pragnąłem otoczyć

je miłością i opieką. Sądzę, że nie udało mi się zrealizować swych planów. Co wiem o mojej rodzinie? Przecież ja nie znam swojej żony. Nie wiem, o czym myśli, co przeżywa, gdy ja, prawie gość w domu, zajęty jestem swoją pracą. Z jakiego powodu zrezygnowała z ambicji artystycznych, ograniczając się do chałupniczej produkcji biżuterii z przedziwnych materiałów? Co za tęsknotę zamyka w tych drobnych, niespokojnych arcydziełkach? Co wiem o dzieciach? Żyją już własnym życiem, wyłamując się spod matczynej opieki. Czy w tej sytuacji mogę mówić o prawdziwym życiu rodzinnym? O domu? Mój ulubiony felietonista, Tomasz Domaniewski, w jednym z felietonów, publikowanych w „Expressie Wieczornym”, zapytywał, dlaczego w żadnej powieści o nas nie wspomina się ni słowa o naszych żonach? Że my prawdopodobnie nigdy ich nie mamy. Bo i po co, redaktorze? Stale poza domem. A gdy już w nim jesteśmy, chcemy robić jedynie to, na co mamy ochotę. Tymczasem żony czekają, narzekają, są niezadowolone... Mają rację! Ale ja nie wiem, czy będę miał jutro wolne popołudnie! Czy za trzy dni będę mógł pójść z żoną do teatru, do którego otrzymała bilety ulgowe?

Nie chcę być skrępowany. Chcę robić to, co mi daje zadowolenie. Za trzy tygodnie będę miał sprawę rozwodową... Tak, jestem zmęczony... Nie wytrzymuję już tej atmosfery domowej. Żona ma też swoje racje. Zdaję sobie z tego sprawę! Ale co robić? Nie rzucę pracy! Nie chcę dożyć późnej starości za biurkiem, pełnym pism, sprawozdań, wykazów! Nie chcę kichać nad zakurzonymi aktami! Nie potrafię zmienić się w automat, który dzień w dzień robi to samo!

Praca – dom, praca – dom... W dzień siedzieć za biurkiem, wieczorem – przed telewizorem! Nie, to nie dla mnie! Wolę być sam. To sytuacja domowa mnie zmęczyła...

W młodości marzyłem, że zostanę trybunem ludu, Katonem lub złotoustym Demostenesem. Tymczasem rzeczywistość okazała się bardziej prozaiczna. W życiu rodzinnym wielka przegrana. Zaś w pracy? Tam nie ja mówię. Mówią inni. Ja słucham i notuję to, co mi się przyda w dalszym działaniu...

Z rozmyślań wyrwał mnie przeraźliwy pisk opon. Zgrzytnęły hamulce. Z przerażeniem zobaczyłem, że twarz moja zbliża się z zaskakującą prędkością do przedniej szyby samochodu. Serce podskoczyło mi do gardła, jakby chciało wyrwać się z piersi. Spod kół naszej warszawy wyskoczył chłopiec. Jak wystrzelony z armaty pędził na oślep przed siebie, nie zwracając uwagi na nadjeżdżające samochody. Biegł, myśląc tylko o jednym – osiągnąć zbawczą krawędź przeciwległego chodnika.

Spojrzałem na naszego kierowcę. Siedział wyprostowany, wpatrując się w jakiś niewidoczny punkt przed sobą. Gdyby nie rozluźniające się powoli mięśnie twarzy, byłby podobny do posągu. Po chwili sprężone ciało zaczęło wiotczeć.

Jak balon, z którego powoli uchodzi powietrze – pomyślałem. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że nie jest to najlepsze porównanie. Nasz kierowca, sierżant Kazimierz Szych, nie zasłużył sobie na to. Popularnie zwany przez nas „pan Kazio” wychylił się przez boczne okno:

– Ty skubańcu! Gdybym był twoim ojcem, to tak bym ci skórę

złoił, że przy każdym przejściu przez ulicę czułybyś na pupie czerwone światło! – W głosie kierowcy drgały jeszcze nuty zdenerwowania, ale ja już wiedziałem, że pan Kazio wraca do równowagi. – No i co z takim zrobić? – zwrócił się do mnie. Traktując pytanie jako zwrot retoryczny, odpowiedziałem:

– Dobrze, że skończyło się na strachu! A teraz lecimy dalej, bo tam czekają...

Ruszyliśmy ponaglani przez stojących za nami, zdenerwowanych kierowców. Nic dziwnego. Byliśmy na Chałubińskiego przy Nowogrodzkiej. Godzina 15.50. Kto choć raz o tej porze znalazł się w tym miejscu, wie, ile trzeba czasu, nerwów i sprytu, by przedrzeć się za skrzyżowanie z Alejami Jerozolimskimi. Każdy, nawet trwający kilka sekund, postój powoduje tu fantastyczne wprost korki. Szych jechał powoli, lawirując wśród nieprzerwanego potoku samochodów. Tak jak inni, nie żałował klaksonu, zachęcając do szybszej jazdy ciągnący się przed nami w żółwym tempie wąż aut.

– Coś pan Kazio dziś nie w formie – odezwał się z tylnego siedzenia porucznik Lisiecki. – A tak wszyscy chwalą pana, panie Kaziu, że pan taki „Caruso kierownicy”. Tymczasem po dzisiejszym dniu jest pan dla mnie, no, najwyżej Połomskim.

– Ja tam się nie wtrącam do spraw służbowych pana porucznika... Ale jak pan porucznik tego tak bardzo chce, to zaraz zapytam majora o pańskie zdolności zawodowe. Wtedy zobaczymy, czy pan to rzeczywiście polski Sherlock Holmes – odparował Szych, nie chcąc pozostać dłużny Lisieckiemu.

– Bez względu na opinię o mnie, pozwoli pan, sierżancie, że

przytoczę pewną złotą myśl z „Przekroju”: „Zdrowo czasem porażce spojrzeć prosto w oczy”. Lisiecki nie dał za wygraną. Wiedziałem, że teraz będą się prześcigali w złośliwościach i kpinkach przez całą drogę. Porucznik Lisiecki wykorzystywał każdą okazję, by przypiąć łątkę Szychowi. Uważałem za stosowne przerwać tę słowną szermierkę:

– Poruczniku Lisiecki! Dajcie spokój! Szych i tak jest już trochę zdenerwowany, nie powinniście pogarszać tego stanu. Zamiast na hamulec, naciśnię na gaz i dopiero wtedy będą żarty. Ale z nas.

– Słusznie, szefie! Wyobrażam sobie, co by to było, gdyby milicja spowodowała wypadek.

W lusterku nad moją głową widziałem okrągłą, zaróżowioną jak u panienki, zawsze uśmiechniętą twarz mego wydziałowego kolegi. Znów oddałem się własnym myślom. Patrzyłem na swych towarzyszy i zdałem sobie sprawę, że właściwie ich nie znam. Tak to już w życiu jest: można z kimś przepracować kilkanaście lat i tak naprawdę nic o nim nie wiedzieć. Taki na przykład Szych. Pracuje u nas już ponad dwadzieścia lat. Właśnie nie tak dawno wręczono mu odznakę „XX lat w Służbie Narodu”. Przyszedł do nas z wojska w stopniu kaprala. Jest dobrym kierowcą – to trzeba przyznać. Prowadzi wóz pewnie i z fantazją. Z każdej niebezpiecznej sytuacji potrafi się wywinąć. Wielokrotnie cieszyłem się, że nie jeździ gazikiem, gdyż nie raz podczas karkołomnych ewolucji wypadłbym z wozu na ulicę. Ktoś obserwując z boku jazdę naszego Kazia nie dałby wiary, że za kierownicą siedzi czterdziestoosmioletni, spokojny, zrównoważony mężczyzna.

Jest małomówny. To dobrze. W naszym zawodzie gadulstwo nie należy do cech pozytywnych. Dobry mąż i ojciec. Tak mówią ludzie. A ja? Nigdy nie rozmawiałem z nim o sprawach osobistych. Inni pewnie też nie. Żyjemy obok siebie, dobrzy koledzy, a właściwie zupełnie obcy ludzie. Każdy zajęty swoimi sprawami. O czym on teraz myśli? Albo Lisiecki... Kawaler. Młody – ma dopiero dwadzieścia pięć lat – i krótko pracuje, a już w niejednej akcji wyróżnił się dystansując bardziej doświadczonych kolegów. Dotychczas radzi sobie świetnie w każdej sytuacji. Ma przy tym, jak to się u nas mówi, dobrego nosa. Szybki, wygadany, zawsze uśmiechnięty, jest mile widziany szczególnie przez koleżanki. Lubię z nim pracować, choć denerwuje mnie czasami swym arogancko-złośliwym tonem wypowiedzi. Ale zna się na robocie. Dobry też z niego kolega. Można na niego liczyć. Mimo dużej różnicy wieku mówimy sobie po imieniu. Z tego przywileju Lisiecki korzysta wprawdzie bardzo rzadko. Za to stosuje formę, która początkowo doprowadzała mnie do szału. Po pewnym czasie, kiedy moje protesty nie dawały żadnego rezultatu, poddałem się na całej linii. I teraz Lisiecki bez żadnych przeszkód z mojej strony zwraca się do mnie: – Szefie!

Nie jestem jego bezpośrednim przełożonym. Pracujemy w różnych wydziałach Biura Śledczego Komendy Głównej MO. Tak się jednak składało, że w większości spraw przeze mnie prowadzonych brał udział również Lisiecki. Wychodziło to nam obu na dobre. Mam większe doświadczenie, lepiej znam psychikę ludzką. On natomiast świetnie opanował technikę śledztwa, doskonale radzi sobie z wartościowaniem dowodów rzeczowych. Ba! Przecież nie tak dawno

ukończył Oficerską Szkołę MO w Szczytnie, zwaną złośliwie przez niektórych „Szczytnieńską Sorboną”.

Ja działałam spokojniej, wierząc w moje długoletnie doświadczenie. Znając dobrze środowisko przestępcze, sposób rozumowania i motywy działania podejrzanych, staram się iść tym śladem. Analizy i ekspertyzy są mi potrzebne jedynie jako poparcie mojej teorii, zbudowanej na podstawie zeznań i zachowania przesłuchiwanego.

Tymczasem Lisiecki pracuje zupełnie inaczej. Szybki, i wierzący w siłę techniki i dowodów rzeczowych, dopasowuje swoje teorie do wyników ekspertyz. Czasami się myli. Znalaziono na miejscu przestępstwa ślady palców Iksa. Zdaniem Lisieckiego Iks jest winien! Są splądrowane szuflady – mord na tle rabunkowym! Gdy tymczasem morderca specjalnie upozorował rabunek, aby zmylić „blacharzy” – to znaczy nas.

Bo Szczytno, choć to dobra szkoła naszej kadry, wszystkiego nie nauczy! Ileż to razy musiałem mu podpowiadać, wskazywać kierunek działania. Lisiecki przyjmował moje uwagi z wyraźnym sceptycyzmem, lecz następnym razem nie powtórzył już tego samego błędu.

Gdy Lisiecki przywiązywał zbyt wielką wagę do techniki, starałem się przekonać go rzeczowymi argumentami, a ostatecznie powoływałem się na autorytet ekonomistów, filozofów i techników, którzy stwierdzili, że „człowiek, a nie sama broń wygrywa bitwy”.

Porucznik nie pozostawał mi dłużny. Gdy czasami popełniałem błąd, cedził z rozkoszą przez zęby:

- Najgorzej, gdy ktoś nic nie wie, a do tego jeszcze zapomni...

A w ogóle to ma denerwującą manię przytaczania przy każdej okazji przeróżnych cytatów i złotych myśli. Skąd je bierze? Najobfitym źródłem tych „perełek” jest niewątpliwie „Przekrój”, czytany przez niego od deski do deski. Zaczyna lekturę od rubryki „Myśli ludzi wielkich, średnich i psa Fafika”. Nie znaczy to jednak, że zawsze jest z tymi złotymi myślami w zgodzie.

Narzekam na opinie służbowe... Że szablonowe, że oschłe, że przeładowane frazesami i utartymi zwrotami... Ale ja sam, gdy trzeba powiedzieć coś o koledze, z którym przepracowało się wiele lat, wystawiam mu podobną „laurkę”.

Z rozmyślań wyrwał mnie głos Lisieckiego:

– Panie Kaziu! Czy można prosić o przyspieszenie? Przecież już jesteśmy prawie pół godziny po tak zwanym fajrancie. A chciałbym przed zachodem słońca dojechać do miejsca przeznaczenia. Jednak dotychczasowe tempo jazdy wskazuje, że dojedziemy tam dopiero w nocy.

– Rysiu! Jeśli moje nazwisko miałyby się ukazać w prasie, to wolałbym, aby nie był to nekrolog – odpowiedziałem za Szycha.

– Zgoda, szefie! Trafić na łamy prasy to wątpliwa przyjemność.

– Skoro przyznajesz mi rację, to nie ponaglaj Szycha. Siedź spokojnie. Na pewno dojedziemy na miejsce szybciej, niż przypuszczasz!

– Ale, szefie kochany! Przy takim tempie to ja się nigdy nie ożenię! Właśnie na dziś umówiłem się z sympatią do kina. I co? Mam już popołudnie z głowy... Jest godzina szesnasta. Zanim przeprowadzimy wstępne dochodzenie i przesłuchamy świadków,

minie co najmniej pięć godzin. Chyba że szef wczuje się w sytuację podwładnego i zwolni mnie dzisiaj od dalszego pełnienia służby...

– Kochany! Ja już w kinie nie byłem od kilku miesięcy... A tak bardzo lubiłem obejrzeć dobry film!

– Uśmiechnąłem się do własnych wspomnień.

Lisiecki chrząknął kilka razy, podrapał się za uchem i z uroczystą miną rozpoczął:

– Miło mi, że moje słowa skłoniły szefa do zwierzeń. Jednak pragnę zauważyć, że nie otrzymałem odpowiedzi na zasadnicze pytanie.

– Jakie pytanie? – usiłowałem sobie przypomnieć, gdyż, rzeczywiście, nie zwróciłem na nie uwagi.

– Chciałem zauważyć, że szef miał trochę więcej czasu, skoro zdążył się ożenić. A ja? Jeśli tak dalej pójdzie, nawet na własny ślub nie zdążę. Dlatego pozwolę sobie jeszcze raz poprosić o zwolnienie mnie dzisiaj z pracy.

– Czy mówisz to poważnie? – Prośba Lisieckiego była tak bezsensowna, że nie wiedziałem: kpi, czy mówi serio. Nie, za dobrze go znam. Jak mogłem przypuszczać, że on chce się naprawdę zwolnić? Wpadając więc w jego ton, odparłem:

– Nie, poruczniku Lisiecki! Wybijcie to sobie z głowy. Jesteś młody, możesz się pomęczyć! Poza tym, im częściej bierzesz udział w dochodzeniach, tym szybciej podnosisz swoje kwalifikacje. Powinieneś się cieszyć z każdej nadarzającej się okazji, mógłbyś nawet starać się o dodatkową pracę. A ty prosisz o zwolnienie. Sprawileś mi duży zawód, poruczniku.

– Dobrze, szefie! Niech tak będzie. – Lisiecki udawał obrażonego.

– Jednak na zakończenie pozwoli szef, że przypomnę mu słowa mędrca: „Nie chcesz się liczyć z ludźmi, idź rządzić na pustynię!”

W duchu przyznałem mu rację. Ileż to razy musiałem w ostatniej chwili zmieniać swoje osobiste plany! Ile przyjęć imienninowych przeszło mi koło nosa! Nie tak dawno musiałem zrezygnować z wizyty u mojej matki. Jeszcze dziś żal mi tego wieczoru.

– Szefie! – Lisiecki wyraźnie nie pozwalał mi pogрузić się we wspomnieniach. – Mam pytanie!

– Pytaj, synu!

– Dlaczego to właśnie my jedziemy do jakiegoś zwykłego samobójstwa? A co robią te asy kryminalistyki z Komendy Dzielnicowej? Jeśli Komenda Główna zacznie prowadzić wszystkie drobne sprawy, to będzie musiała przenieść się do Pałacu Kultury i zająć na swe biura trzydzieści dwa piętra. A Sala Kongresowa zostanie zamieniona na świetlicę, w której odbywać się będą odprawy służbowe.

Roześmiałem się. Już chciałem wyjaśnić Lisieckiemu powód, dla którego to właśnie my zajmujemy się tym samobójstwem, gdy nasza warszawa skrzyła raptownie w Smoczę.

– No to jesteśmy na miejscu! – stwierdził obojętnym tonem Szych.

ROZDZIAŁ II

Nawet gdybyśmy nie znali dokładnego adresu i tak trafilibyśmy na miejsce bez najmniejszego trudu. Nie mieliśmy żadnych

wątpliwości, że to właśnie ten dom.

Widok, do którego zdołaliśmy się już przyzwyczaić. Zawsze taki sam: rozdyskutowane, niezdrowo podekscytowane grupy i grupki. Ci, którym się nigdy nie spieszy – „urodzeni w niedzielę”, mają tu swój „klub pod chmurką”. Piwka dostarcza im mieszczący się w tym domu sklep spożywczy... Starsze panie z siatkami pełnymi zakupów, znudzone monotonnym życiem na trasie: kuchnia – sklep. Zdarzyło się nareszcie coś ciekawego! Można puścić wodze fantazji. One już wszystko wiedzą, one nie mają wątpliwości: kto i dlaczego? Gdy jednak przychodzi chwila oficjalnych zeznań, nabierają wody w usta. To nie jest jeszcze takie złe. Gorzej, gdy trafi się „wszystkowiedząca”, mitomanka, chcąca się wyżyć, oderwać choć na chwilę od garnków, zlewozmywaka, brudnej bielizny i rozwrzeszczanych dzieciaków. Rozumiem je. I nie lubię.

Jest jeszcze dzieciarnia. Jak zwykle nie przejmująca się tragedią, która się obok rozegrała. Dla nich to jeszcze jedna „Kobra”, jeszcze jeden odcinek „Klossa”. Kręcą się dookoła, wtykają wszędzie ciekawe noski. Interesuje ich wszystko.

Szych powoli podjeżdża do narożnego, dziewięciopiętrowego bloku, sterczącego samotnie wśród trzypiętrowych, przytłoczonych jego ogromem domów. Blok jak blok. Nie wyróżnia się niczym szczególnym. Szerokie okna świecą pustką. Nawet rząd loggii nie ożywia monotonnej fasady. Ot, pudełko zapalek, postawione pionowo. Nie lubię bloków bez balkonów. Balkony, choćby najmniejsze, dodają budynkom lekkości, ożywiają je. Zdaje mi się, że w takich domach, jak ten, nie mieszkają ludzie radośni. W takich domach najczęściej zdarzają się tragedie...

Przepycham się przez podniecony tłumek. Za mną idzie Lisiecki. Z małego hallu wchodzimy do windy, która kolebiąc się na boki wiezie nas na szóste piętro. Wąski, ponury, prawie więzienny korytarz przecina dom na dwie części. Po obu jego stronach rzędy drzwi. Niektóre z nich są uchylone. W wąskich szparach zaciekawione twarze. I oto stalowo-granatowy mundur milicyjny. To tu.

Pokazujemy legitymacje. Wchodzimy do wnętrza. Ciasny, prawie kwadratowy przedpokój. Z lewej wnęka kuchenna, z prawej łazienka. Na wprost drzwi do pokoju. Gdy stanąłem w progu, podszedł do mnie znajdujący się już na miejscu oficer.

– Melduje się kapitan Lewiński z Wydziału Śledczego Komendy Stołecznej.

Znam go od dawna. Współpracowaliśmy przy kilku sprawach. Jest to funkcjonariusz dobrze znający pracę dochodzeniowo-śledczą, mimo to od czasu do czasu trzeba go brać mocniej w karby. Czasami trafiało mu się przepuścić to czy owo. A w naszej pracy jedno drobne niedopatrzenie może komplikować śledztwo, doprowadzić do uniewinnienia podejrzanego lub do zakwestionowania wartości dowodowej ujawnionych śladów.

- Czy wszystkie możliwe ślady zabezpieczono?
- Nie, obywatelu majorze! To zwykłe samobójstwo! Uznałem, że nie musimy zabezpieczać...
- Zbyt szybko wyciągacie wnioski, kapitanie – przerwałem chyba zbyt ostro, ale zdenerwowała mnie lekkomyślność tego zwykle dobrze pracującego funkcjonariusza. – Proszę zabezpieczyć ślady i przesłać ubranie denata do Zakładu Kryminalistyki.

– Tak jest, obywatelu majorze! – Kapitan Lewiński z miną wyrażającą dezaprobatę podszedł do techników dochodzeniowych.

Spojrzałem na zwłoki. Klęczał nad nimi lekarz, zapisując w swym zeszycie dokonane spostrzeżenia. Nie chciałem mu przeszkadzać. Jeszcze będę miał czas na dokładniejsze przyjrzenie się denatowi.

Tymczasem obserwowałem techników. Pracowali w milczeniu. Bo i o czym mieli rozmawiać? Każdy z nich wiedział doskonale, co do niego należy. Świetni fachowcy. Musieli zgromadzić jak najwięcej informacji o właścicielu tego mieszkania, abyśmy my mogli odpowiedzieć na pytanie, dlaczego odebrał sobie życie. A jeśli nie było to samobójstwo, powinni pomóc nam w odnalezieniu mordercy.

Jeden z nich wykonywał zdjęcia zwłok i mieszkania, drugi szukał śladów i nanosił je na przygotowany uprzednio szkic. Lubilem patrzeć na ich pracę, choć nie mogłem nigdy zapamiętać tych wszystkich szkiełek, fiolek i pojemników wypełniających walizkę technika.

Poruszali się wolno, ich ruchy były delikatne, ściśle odmierzone. Każde gwałtowniejsze poruszenie mogło zniszczyć jedyny ślad... I co wtedy?

Przyglądałem się, jak technik opylał ślad linii papilarnych, znalezione na kredensie. Zebrał pędzelkiem nadmiar proszku, wyjął z walizki taśmę maskującą i obramował nią ujawniony ślad. Sięgnął znów do tej „walizki bez dna” i z jednej przegródki wyjął pojemnik z płynem nylonowym w aerozolu. Trzymając go w pozycji pionowej rozpylał płyn, który cienką warstwą pokrywał ślad. Minęło dziesięć minut i płyn nylonowy wysechł. Technik zdjął go delikatnie z powierzchni, umocował na sztywnej karcie i włożył do koperty.

– W powieściach kryminalnych i filmach zawsze - najważniejszym dowodem są ślady linii papilarnych – odezwał się Lisiecki. – Tymczasem na miejscu przestępstwa znajduje się zwykle tyle innych szczegółów, które mogą stanowić cenny materiał dowodowy.

– A rezultat jest taki – skończyłem zaczęta przez Lisieckiego myśl – że nawet podrzędny włamywacz, nie mówiąc już o tych bardziej doświadczonych, pracuje dziś w rękawiczkach. Myślą, że w ten sposób staną się nieuchwytni, podczas gdy w rzeczywistości mogą jedynie utrudnić dochodzenie.

Ostatni raz błysnął flesz. Technik pakował swą walizkę. On już zakończył swoją pracę, teraz kolej na nas.

– Ot, taki Sherlock Holmes czy Hercule Poirot, ci mieli dobrze! – westchnął Lisiecki. – Siedli, zapalili fajki, podedukowali chwilę i wszystko wiedzieli!

– Obywatelu majorze! – Kapitan Lewiński był w dalszym ciągu obrażony. – Czy mam rozumieć, że Komenda Główna przejmie dochodzenie?

– Tak! Chociaż może się to wydawać dziwne. Oficjalne zawiadomienie dostaniecie jutro. Przekazując materiały do ekspertyz i badań, zaznaczcie, by wyniki skierowano do nas.

– Tak jest! – Stuknął obcasami Lewiński. – Czy mogę się odmeldować?

– Stwierdzono tożsamość denata?

– Tak! Oto jego dokumenty! – Kapitan Lewiński podał mi dowód osobisty zmarłego. Tak, to było to nazwisko.

– To wszystko, kapitanie! Zostawcie nam tylko klucze. Zamknijemy i opieczemy mieszkanie.

Ruchem raki wstrzymałem noszowych, którzy weszli, by zabrać zwłoki.

Skinąłem na Lisieckiego i razem zbliżyliśmy się do denata. Zwłoki młodego człowieka leżały obok stołu, przechylone na lewy bok. Głowa była również zwrócona w lewo. Prawa noga zgięta w kolanie. Prawa ręka wyciągnięta sztywno w bok. Dłoń zaciśnięta kurczowo. Przed chwilą tkwił w niej pistolet typu TT, który technicy zabrali do ekspertyzy. Poniżej lewej kłapy marynarki widniał otwór wlotowy pocisku, otoczony krwawą plamą.

– Poruczniku Lisiecki! – mimo że mówiliśmy sobie po imieniu, w takich okolicznościach zwracałem się do Lisieckiego oficjalnie. – Proszę zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Zdjęcia, nawet bardzo dokładne, nigdy nie dają pełnego obrazu sytuacji.

Schyleni nad denatem, studiowaliśmy każdy fragment jego ubrania, obserwowaliśmy jego twarz. Był to młody mężczyzna. Na pierwszy rzut oka trzydzieści – trzydzieści dwa lata. Gęste, delikatnie falujące blond włosy tworzyły wokół pociągłej, sympatycznej twarzy, na której malowało się zdziwienie, a może zaskoczenie, małą aureolę. Był szczupły, wysoki. Ubrany w popularny garnitur produkcji masowej i koszulę polo. Stan ubrania świadczył o pewnej pedanterii. To wszystko. Byłem trochę rozczarowany. Niewiele się dowiedziałem.

Podniosłem się z klęczek. Zaraz po mnie wstał Lisiecki. Dałem znak noszowym, by zabrali zwłoki.

Zostaliśmy w mieszkaniu sami. Mieliśmy teraz pełną swobodę ruchów.

- Poruczniku! Obejrzymy sobie dokładnie pokój.
- Poderwałem do czynu Lisieckiego, który zainteresował się jakimś tygodnikami, leżącymi na stoliku obok telewizora.
- Dobrze, szefie! Ale czego mam właściwie szukać?
- Wszystkiego, co ci się wyda podejrzanę, co cię zainteresuje, co nie będzie pasowało do tego mieszkania i jego właściciela!
- Ba! – parsknął Lisiecki i zabrał się do roboty.

Wiedziałem, że mamy przed sobą trudne zadanie.

Ale taka jest nasza praca. Oglądałem meble, ściany, zaglądałem w każdy kąt. Szukałem jakiegoś drobiazgu, który mógłby mi coś powiedzieć o interesującym nas człowieku, o tym co robił, gdy był sam w mieszkaniu, jakie miał hobby, co było jego pasją.

Meble i zgromadzone w pokoju przedmioty niestety nie mówiły zbyt wiele. Mały, jednoosobowy tapczan, stół, cztery krzesła, dwa nie pasujące do siebie fotele – widocznie kupowane przypadkowo i w różnym czasie. Na ścianie obraz olejny i akwaforta z zimowym pejzażem o wątpliwej wartości. Obok regał z kilkoma tandetnymi figurkami i wazonikami. Na jednej z półek książki. Przyjrzałem im się dokładniej. Nie było ich wiele: kilka tomów literatury fachowej, trochę powieści... Stendhal, Anna Seghers, Verne, Sienkiewicz, Remarque, Brandys. Poza tym kilka kryminałów i albumów. Te ostatnie z dedykacjami. „Za pracę społeczną od Rady Zakładowej”, „Koledze w dniu imienin koleżanki i koledzy z wydziału”. Było też kilka książek w języku niemieckim. Niektóre sprawiały wrażenie, że nikt ich nie czytał.

Bateryjny radioodbiornik „Dominika” i telewizor „Smaragd” uzupełniały wyposażenie mieszkania.

Porucznik Lisiecki buszował w szafie.

– Co u ciebie, Rysiu? Znalazłeś coś ciekawego?

– Nic! Facet powinien dostać premię od dyrekcji Domów Towarowych „Centrum”. Wygląda no to, że z entuzjazmem realizował ich slogan reklamowy: „Elegancki mężczyzna ubiera się tylko w Domach Centrum”!

– A co w kieszeniach?

– To samo, co u mnie przed pierwszym... Trochę spinaczy, stare bilety tramwajowe, jeden bilet do kina sprzed tygodnia, rachunek z kawiarni „Jaś i Małgosia”. To wszystko.

– Źle, Rysiu! Ja też nic ciekawego nie znalazłem. W każdym razie nic, co mogłoby nas zainteresować.

– Nie dziwię się, że facet popełnił samobójstwo. Co to za życie? W takim mieszkaniu, bez żadnych zainteresowań... Powiesić się można. – Lisiecki nie przerywając paplaniny podszedł do stolika, na którym stał telewizor, i zaczął przerzucać leżące obok niego listy i widokówki. – Szeffie, dlaczego on się nie powiesił? Skąd miał pistolet? – Porucznik był w tej chwili bardzo poważny. – U nas pistolet nie należy do przedmiotów codziennego użytku.

– Zobaczmy, co powiedzą o tym w Wydziale Ewidencji Broni... Może odzyskamy jakiś skradziony pistolet – zauważyłem, że Lisiecki nie słucha mnie już od dłuższej chwili. Zainteresowały go widokówki, które oglądał bardzo dokładnie. To dobrze – pomyślałem. Będzie trochę spokoju. Radość moja była jednak

przedwcześnie. Nie upłynęła minuta, gdy Lisiecki wykrzyknął

– Szefie! Ten facet był w zażyłych stosunkach z rodziną w NRF... tak wynika z korespondencji. O ile znam niemiecki, to „dein Vetter mit Helga” znaczy „twój kuzyn z Helgą”

Podszedłem i wziąłem kilka listów. Były bez znaczków pocztowych. Może Szeryng zbierał znaczki i dlatego je odklejał? Wszystkie pochodziły z miejscowości Wuppertal. Ostatni nosił datę sprzed miesiąca. Kuzyn z Wuppertalu donosił, że jest zaniepokojony sytuacją i prosi, by Seweryn nie robił głupstw.

– O, to już coś jest... – powiedziałem do Lisieckiego.

– Nasz klient wpadł w jakieś tarapaty. I to takie, które znała jego rodzina za granicą. Powiedz mi, Rysiu, co za sytuacja mogła skłonić naszego rodaka do zwierzania się z kłopotów rodzinie z zagranicy?

– Pewnie potrzebował trochę ciuchów lub bonów Banku PKO – odpowiedział bez namysłu Lisiecki.

– Brawo, poruczniku! Jednak z tego powodu nie popełnia się samobójstwa. Jakie to mogły być kłopoty? – zastanawiałem się głośno i nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

– Nie wiem, szefie! – Lisiecki rozłożył ręce.

– Wobec tego musimy poszperać trochę w życiorysie denata i porozmawiać z bliźnimi. Może wtedy znajdziemy odpowiedź na nasze pytanie?

– Więc bierzmy się do roboty, bo już osiemnasta. – Lisiecki westchnął ciężko.

– Ja rozmawiam z gospodarzem domu, a ty idź do sąsiadów. Jeśli skończę wcześniej, to ci pomogę.

Jutro zajmiemy się jego pracą.

Lisiecki wahał się przez chwilę.

– Szefie, jeszcze jedna sprawa. Jeżeli poświęcam swój cenny, prywatny czas, to powinienem chyba wiedzieć, o co tu chodzi? Pytałem już w samochodzie, ale tak się złożyło, że nie dostałem odpowiedzi. – W głosie porucznika zadrgała nuta pretensji. – Zwykłymi samobójstwami na ogół się nie zajmujemy. To musi być znacznie poważniejsza sprawa. Wiem o tym. I ten pistolet... Skąd się znalazł u szarego obywatela? I te listy z NRF... Jeżeli mnie mój milicyjny instynkt nie myli, ty, szefie, wiesz o wiele więcej.

– Zgoda! Masz zupełną rację! – zgodziłem się z Lisieckim. – Chciałem ci wszystko wyjaśnić w samochodzie, ale właśnie dojechaliśmy na miejsce i nie było na to czasu. Tym bardziej że to dosyć długa historia.

– Fiu, fiu! – gwizdnął Lisiecki. – To aż tak skomplikowane?

– Jeszcze nie wiem, czy skomplikowane. Może okazać się bardzo proste. Na razie siądź i posłuchaj.

Wybrałem fotel stojący przy oknie. Lisiecki usiadł na tapczanie. Odetchnąłem głębiej i rozpocząłem:

– Zaczęło się to prawie dwa tygodnie temu...

ROZDZIAŁ III

Odrzuciłem długopis na biurko, usiadłem wygodnie na swym biurowym krześle i westchnąłem z ulgą. Właśnie skończyłem opracowywanie raportu o wynikach dochodzenia w sprawie gangu przestępczego, kradnącego części do samochodów. No, mogę pozwolić

sobie na odrobinę relaksu – pomyślałem. Zacząłem układać plany jak najprzyjemniejszego wykorzystania wieczoru, gdy nagle rozdzwonił się selektor, stojący na moim biurku. Dyrektor! – Serce me drgnęło niespokojnie. Pewnie jakaś nowa sprawa.

Wciskając z obawą guzik mikrofonogłośnika wypowiedziałem niepewnym głosem służbową formułkę:

– Melduje się major Korczuk.

Z głośnika zadudnił baryton dyrektora Biura, podpułkownika Krawczyka.

– Przyjdźcie zaraz do mnie!

– Tak jest, pułkowniku.

Zrezygowanym ruchem wyłączyłem to diabelskie pudło, przez które już nie raz rozpadały się moje misternie ułożone plany. Gdy wszedłem do gabinetu „starego”, pierwsze jego słowa pozbawiły mnie resztek złudzeń:

– Czy zajęliście się już, majorze, sprawą Szerynga?

– Nie, jeszcze nie. Chciałem skończyć sprawę „Samochód 72”.

– To bardzo źle! Co prawda sprawa Szerynga nie wygląda na poważną, ale musimy pamiętać, że każdy sygnał, nawet z pozoru najbardziej nierealny, może w konsekwencji okazać się ważnym śladem. Komu jak komu, ale wam, towarzyszu majorze, nie muszę o tym przypominać.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku! Zajmę się tym jeszcze dziś, zaraz po wyjściu od towarzysza pułkownika!

– Proszę to zrobić jak najprędzej. Przypominam: zebrać dane personalne o Szeryngu, ustalić, z kim się kontaktował i co robił.

No i naturalnie porozmawiać z nim samym. Ale ostrożnie... Przecież nic o nim nie wiemy. Może to jakiś maniak. – Pułkownik zastanawiał się przez chwilę, po czym zakończył energicznie, wstając jednocześnie z fotela: – Zresztą, co wam będę tłumaczył. Nie jesteście nowicjuszem. Czekam na informacje!

Szedłem korytarzem przeklinając w myśli swój los. Myślałem, że resztę dnia będę mógł spędzić ulgowo, tymczasem czeka mnie zwykła harówka. Zrezygnowany wróciłem do swego gabinetu. Wyjąłem z szafy pancерnej teczkę z napisem „Szeryng”. Nie ma rady, trzeba się brać do dzieła! Najważniejsze, że plany na popołudnie są nadal aktualne. Oho! Żle się ze mną dzieje. Jeśli na każde wezwanie szefa od razu przypuszczam, że koniec z wolnym popołudniem, to prawdopodobnie wkrótce dostanę zawału.

Otworzyłem teczkę, wyjąłem z niej notatkę oficera dyżurnego KGMO i jeszcze raz przeczytałem jej treść:

10 sierpnia o godzinie 14.35 przyjąłem zgłoszenie telefoniczne z linii miejskiej. Rozmówcą był mężczyzna, który oświadczył, co następuje: „Chciałbym skontaktować się z wyższym oficerem milicji, gdyż mam do przekazania ważne informacje, które was na pewno zainteresują”. Zapytałem, jakiego rodzaju są te informacje. Rozmówca odpowiedział: „Nie mogę mówić przez telefon. Proszę mnie umówić z odpowiedzialnym oficerem, o powiem wszystko osobiście...” Zapytałem rozmówcę o personalia. Odpowiedział: „To także powiem osobiście...”

W tej sytuacji podałem rozmówcy nazwisko i numer telefonu Dyrektora Biura Śledczego, zgodnie z zaleceniem o dalszym

postępowaniu w takich sprawach. Rozmowa została nagrana na taśmę magnetofonową, z której odtworzono wypowiedzi rozmówcy.

W załączniku: odcinek taśmy magnetofonowej.

Notatkę sporządził mjr Jerzy Biedrzyński. Oficer Dyżurny KGMO.

W teczce był jeszcze list, list, który nadszedł w 12 dni później, 22 sierpnia. Adresowany był do dyrektora naszego Biura.

Szanowny Panie! Piszę do Pana, kierując się wskazówkami, jakie otrzymałem od dyżurnego Komendy, z którym rozmawiałem przez telefon. Chciałbym spotkać się z Panem w sprawie przekazania pewnych informacji, które mają dla milicji wielką wartość. Jednak nie mogę przyjść do was, bo jestem obserwowany. Dlatego podaję mój adres i proszę o jak najszybsze skontaktowanie się ze mną, ale tak, by nikt obcy tego nie widział.

Błagam was, nie potraktujcie mego listu jak listu jakiegoś psychopaty. Sprawa jest naprawdę bardzo poważna. Podpisane: Seweryn Szeryng i adres.

Ten list przekazał mi wczoraj mój szef. Nie ma rady, trzeba dowiedzieć się czegoś o tym Szeryngu. Wykręciłem numer telefonu kierownika sekcji dochodzeniowo-śledczej Komendy Dzielnicowej. Zgłosił się jeden z pracowników. Poprosiłem do telefonu kierownika.

- Major Baziak, słucham!
- Tu Korczuk. Witam wiecznie zapracowanego funkcjonariusza!
- A, to ty? Jak się masz!?! – zadudniło w słuchawce.
- Dawno cię nie słyszałem.
- Prowadziłem sprawę na terenie KDMO Żoliborz, dlatego dałem ci trochę spokoju.

– I bez ciebie mam wystarczająco dużo roboty. Sądząc po telefonie, chcesz mi jeszcze coś podrzucić.

– Zgadłeś, mój „asie wywiadu”! Mam do ciebie małą prośbę.

– Mów śmiało! I tak nic mnie już nie jest w stanie załamać.

– Chciałem cię prosić o sprawdzenie personaliów i dostarczenie mi bliższych informacji o jednym facecie, który chce zająć nas swoimi fantazjami.

Podąłem Baziakowi adres Szerynga.

– Masz zrobione! Za tydzień przekażę ci wszystko, czego się o tym panu dowiedzieli moi ludzie!

– Chyba żartujesz! – zaoponowałem. – Za tydzień? Ja chcę to mieć już dziś, i to przed końcem pracy!

– Ależ, chłopie, przecież już po dwunastej!

– Słuchaj! Znamy się nie od dziś! Wiem, ile czasu może ci to zająć. Wyślij zaraz jednego z twoich „orłów”. Pół godziny w jedną stronę, pół w drugą, dwadzieścia minut na rozmowę z dozorcą, dwadzieścia na rozmowę z kadrowcem, kwadrans na oczekiwanie, drugi na rezerwę i „orzeł” jest z powrotem o czternastej trzydzieści. O czternastej pięćdziesiąt telefonujesz do mnie i mamy sprawę z głowy – wyliczyłem jednym tchem. – Zrozumieliśmy się? Więc do usłyszenia!

– Obyś „chlebowego” nie dostał! – rozległo się w słuchawce. – Niech ci będzie! No to cześć!

W ten sposób mam trochę wolnego czasu! Usiadłem wygodnie i przymknąłem oczy. Jeszcze raz prześledziłem w myślach poszczególne punkty dzisiejszego wieczoru. Nie wiem, jak długo siedziałem. Z tego błogostanu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Tym razem nie był to selektor szefa. Terkotał aparat wewnętrznej centrali

telefonicznej. Podniosłem mikrotelefon.

– Korczuk? – ryknął głos w słuchawce.

– Tak!

– Tu Baziak! Słuchaj, chłopie, powtórz mi jeszcze raz dane personalne tego twojego faceta!

– No wiesz! – zachnąłem się. – Jeśli będę ci powtarzał te dane co kilkanaście minut, to nieprędko dowiem się czegoś konkretnego.

– Dobra, nie gadaj tyle, tylko podawaj! Później sobie ponarzekasz.

Powtórzyłem jeszcze raz imię i nazwisko autora listu oraz jego adres.

– To się zgadza! – ryknął triumfalnie Baziak.

– Co się zgadza?

– Bo widzisz, po pierwszej naszej rozmowie zdawało mi się, że już gdzieś to nazwisko słyszałem.

– No i co? – poczułem, że serce zaczyna mi bić szybszym rytmem, a dłonie zwilgotniały.

– Zgadzało się. Chciałem się jeszcze upewnić, czy nie pomyliłem nazwiska lub adresu. Ale nie, wszystko się zgadza.

– Mów do diabła szybciej, co się stało? – nie wytrzymałem i krzyknąłem do mikrofonu może nieco za ostrym tonem.

– Ty! Nie podskakuj! Zamiast podziękować, że ci kolega robi przysługę, że ci chce podać ciekawą informację, to ty się wydzierasz! – zachnął się Baziak.

– Przepraszam cię! Ale wiesz, jak to jest w naszej pracy...

– Więc już ci mówię, o co chodzi. Kilka godzin temu dostaliśmy informację z instytucji, w której pracował Szeryng, że nie

przyszedł on dzisiaj do pracy. Jego biuro wysłało jednego z pracowników do mieszkania, żeby zobaczył, co się z człowiekiem dzieje. Mieszkał samotnie, więc w przypadku choroby nie mógłby mu nikt pomóc. Mieszkanie było zamknięte...

Dozorczyzna stwierdziła, że widziała Szerynga wracającego wczoraj wieczorem do domu. Natomiast dziś rano nie widziała go, chociaż wychodzi on zawsze o tej porze, gdy ona zamiata chodnik. Przedstawiciel instytucji zatelefonował do nas, prosząc o pomoc. Wiesz, że w takich przypadkach oczekujemy zawsze jeszcze dzień, bo to różnie z tymi zaginionymi bywa... Robi się dużo szumu, a potem okazuje się, że gość tak się zabawił, że stracił z życiorysu cały dzień. Ale w tym przypadku, biorąc pod uwagę, że Szeryng mieszkał sam i że w ten rejon udawał się akurat jeden z naszych funkcjonariuszy, zgodziliśmy się otworzyć komisyjnie drzwi. Po wejściu funkcjonariusza do mieszkania okazało się, że Szeryng popełnił samobójstwo. Właśnie nasza ekipa przeprowadza na miejscu wstępne czynności śledcze.

Siedziałem jak sparaliżowany. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

– Halo! Korczuk! Co się z tobą dzieje? Żyjesz jeszcze? – dudniło w słuchawce.

– Tak, tak! – powoli wracałem do rzeczywistości. – Dziękuję za tę wiadomość! Zaraz tam będę! Powiedz swoim, żeby na mnie czekali.

Rozłączyłem się. Przez chwilę nie ruszyłem się z miejsca. Żegnaj, romantyczny uroku Alei Ujazdowskich! Żegnaj, lampko wina w nastrojowej „Amforze”!

Żegnać to ja się mogę później! Na razie szef czeka na wiadomość o Szeryngu! – zerwałem się z krzesła. Ciekawe, jaką minę zrobi na taką „bombową” wiadomość! Szef był jednak opanowany. Nie takie rzeczy słyszał i widział. Gdy skończyłem relację, odezwał się z nutą nagany w głosie:

– Przegapiliśmy sprawę, towarzyszu majorze! Przykro mi, że to właśnie wy sprawiliście mi zawód. Teraz trzeba będzie nadrabiać zaległości.

Czułem się głupio. Jak uczeń złapany na ściąganiu.

– Rozumiem, że każdy ma swój punkt widzenia na sprawę... – pułkownik cedził słowa. Ten ton był nie do zniesienia. Wolałbym, żeby się wykrzyczał, uderzył pięścią w stół... Byle nie to powolne syczenie, przypominające węża.

Pułkownik, przeszywając mnie wzrokiem, prawił morały. Były słuszne, zgoda, ale ja nie znosiłem nagany podanej w ten sposób.

– Weźmiecie ze sobą porucznika Lisieckiego, bo u was wszyscy są akurat zajęci. – Odetchnąłem, pułkownik przechodził do konkretów.

– Tak! Dwu jest w terenie, a Szmiela i Jakubczak prowadzą akurat...

– Wiem o tym! – pułkownik Krawczyk przerwał mi bezcere-monialnie. – Dlatego daję wam Lisieckiego. Zwróćcie się do sekretarki w sprawie wozu. Jeśli naszego nie ma, weźcie od dyżurnego. Zdaje się, że Szych powinien być na miejscu... I proszę znów nie przespać sprawy.

Przerwałem swoje opowiadanie. Lisiecki pokiwał głową ze zrozumieniem.

ROZDZIAŁ IV

– Zaczynam od dozorca, a ty zajmij się sąsiadami – zwróciłem się do Lisieckiego.

– Zrobione, szefie! – Porucznik obrócił się na pięcie i już go nie było. Zamknąłem mieszkanie i udałem się na poszukiwanie dozorca. Blok, w którym mieszkał Szeryng, był potężnym gmaszyskiem, ale miał jedną zaletę. Do mieszkań prowadziła tylko jedna klatka schodowa. To dobrze! Dzięki temu dozorca mógł więcej wiedzieć o denacjie. Mógł też więcej zaobserwować. Zadzwoiłem do drzwi z napisem „gospodarz domu”. Na progu powitała mnie kobieta, którą widziałem już wcześniej. Kręciła się przy wejściu do mieszkania Szerynga, rozmawiał z nią też kapitan Lewiński.

– To pani rządzi domem?

– Tak, ja.

– A mąż?

– Jest w robocie. Pomaga mi tylko wieczorami.

– To nawet lepiej. Wolę rozmawiać z kobietą. Kobiety są bardziej spostrzegawcze – stwierdziłem pochlebnie. – Chciałem pomówić z panią o Szeryngu.

Wskazała mi pokój.

– Proszę, niech pan major wejdzie dalej. Przy stole lepiej się rozmawia... A może napije się pan major herbaty. Bo to już i godzina późna, a pan tak po prawdzie to jeszcze w pracy.

Podziękowałem i wszedłem do mieszkania. W pokoju było czysto, choć bardzo ciasno. Z trudem poruszałem się między starymi masywnymi meblami. W rogu pokoju stało dziecinne łóżeczko, a w

nim bobas ze smoczkiem w pucołowatej buzi.

– Chłopiec czy dziewczynka? – zapytałem siadając przy okrągłym stole, nakrytym haftowanym obrusem. Zawsze miałem kłopoty w odróżnieniu płci u dzieci w tym wieku.

– Chłopiec! – w głosie dozorczyńni można było wyczuć dumę.

Przystąpiłem do przesłuchania.

– Na wstępie chciałbym prosić panią o personalia. Jest to mi potrzebne do akt sprawy.

Dozorczyńni siedziała sztywno.

– Pani nazwisko i imię?

– Antonina Szczepańska.

– Od ilu lat jest pani dozorczynią w tym domu?

– O, już dawno – zastanowiła się chwilę. – Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego... To będzie już... – starała się obliczyć w pamięci lata dozorcstwa.

– Dziękuję, rok mi wystarczy. Czym się zajmuje pani mąż?

– Mąż? Robi w fabryce. Jako ślusarz. Dopiero gdy wróci, to trochę mi pomaga... I ludziom czasami to kran, to piecyk naprawi. Wie pan, jak to jest, panie majorze. Gdzie tam szukać fachowca przez spółdzielnię. Przyjdzie dopiero za parę dni, a i zedrze za robotę jak cygan za matkę...

– Od jak dawna zna pani Szerynga? – przerwałem Szczepańskiej, która szykowała się do dłuższej wypowiedzi na ten niewątpliwie interesujący ją temat.

– Od chwili oddania bloku do użytku. Od sześćdziesiątego trzeciego roku.

– Znała go pani dobrze?

– Czy go dobrze znałam? – powtórzyła pytanie. – Tak naprawdę

dobrze, to nie. Blok duży, dużo lokatorów. Nie sposób wszystkich dobrze znać. A Szeryng? Ot, spokojny to był lokator. Nie brudził, nie wracał po nocach, awantur nie robił. – Przerwała na chwilę. – Umiał uszanować człowieka. Pierwszy mówił „dzień dobry”. Żał mi go było. Gdy go zagadywałam, uśmiechał się tak jakoś łagodnie. I smutno, jak dziecko. A przy tym był zawsze sam. Nikt go nie odwiedzał. Czasami tylko przychodził do niego jakiś pracownik z biura. Nie miał żadnej dziewczyny. To znaczy, może i miał, ale u niego nie bywała. A jak wrócił z tych Niemiec, to jeszcze bardziej stronił od ludzi. Zdawało mi się czasami, że się czegoś boi...

– Wie pani coś więcej na ten temat?

– Pewnie, że wiem! Opiekowałam się wtedy jego mieszkaniem. To było na jesieni w siedemdziesiątym drugim roku. Miał w Niemczech zachodnich jakąś rodzinę. Zdaje się, siostrę. Ona go zaprosiła na cały miesiąc. Szeryng pojechał tam we wrześniu. Jak wrócił, to o tych Niemczech nie chciał ze mną rozmawiać. Pytałam go tak, z babskiej ciekawości. Bo to pan major wie, jak to ludzie różnie mówią o tych z Zachodu... Pytałam, jak tam jest? Odpowiadał, że nie ma o czym mówić... Że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

– Czy po powrocie do kraju odwiedził go ktoś, kogo pani przedtem nie widziała?

– Tego nie wiem. Mówiłam, że był odludkiem. Nikt też o niego nie pytał – dozorczyńki zamilkła. Po chwili powiedziała z żalem: – Dobry był z niego chłopak. Na święta kupował zawsze mojemu Markowi jakąś zabawkę. A i mnie dał parę złotych...

– Więc nie może mi pani powiedzieć nic konkretnego o jego znajomościach?

– Nie, panie majorze. Nic. Bardzo mi przykro, ale nie mogę panu pomóc. Czy pan major już wie, dlaczego on się zastrzelił?

– Jeszcze nie – podniosłem się zza stołu. Szkoda mi było czasu. Wiedziałem, że już się niczego nie dowiem. – Dziękuję pani za rozmowę. Gdyby pani coś sobie przypomniała lub gdyby ktoś pytał o Szerynga, proszę do mnie zatelefonować – podałem swoją wizytówkę.

– Naturalnie, panie majorze! Zaraz dam panu znać.

Skierowałem się do drzwi.

– Aha, panie majorze! – wykrzyknęła nagle podniecona Szczepańska. – Przypomniało mi się, że cztery dni temu Szeryng dał mi list z prośbą, żebym go wrzuciła do skrzynki. List był adresowany do waszej Komendy Głównej.

– Dał pani? – zatrzymałem się raptownie.

– No tak, dał.

– I co wtedy mówił?

– Ano nic. Prosił tylko, bym go jak najszybciej wysłała.

Więc Szeryng bał się rzeczywiście – pomyślałem. Aby nie wzbudzić podejrzeń człowieka, który go śledził, dał list dozorczyńni. Zaś głośno zapytałem:

– Czy mówiła pani o tym komuś?

– Nie, nie mówiłam. Bo i po co?

– Na pewno nikomu? Nawet mężowi?

– Mówię panu, że nikomu – odpowiedziała trochę szorstko Szczepańska.

– To dobrze. Niech pani nadal o tym nie mówi. Do widzenia pani... I przypominam o zawiadomieniu mnie, gdyby czegoś się pani dowiedziała w tej sprawie.

– Do widzenia, panie majorze! Jeśli się czegoś dowiem, zaraz dam znać.

Stałem na klatce schodowej i zastanawiałem się, co robić dalej. Nie ma rady. Trzeba pomóc Lisieckiemu. Pojechałem na górę. Na korytarzu stało jeszcze kilka rozdyktowanych kobiet. Gdy mnie zobaczyły, zamilkły.

– Przepraszam panie bardzo – zwróciłem się do nich. – Mam nadzieję, że będą panie mogły powiedzieć mi coś ciekawego o Szerzyngu.

Milczały, patrząc jedna na drugą.

– Sądzę, że panie znają jakieś szczegóły z jego życia. Dla nas miałyby one ogromne znaczenie.

Kobiety milczały nadal, uśmiechając się z zażenowaniem. Westchnąłem... Tak jest zawsze... Wszyscy są świetnie poinformowani, lecz gdy prosi się ich o pomoc, nabierają wody w usta.

– A może panie wiedzą, w którym mieszkaniu jest mój kolega?

– A tak... pod siedemdziesiątym szóstym.

Zapukałem. Drzwi otworzyły się natychmiast. Lisiecki stał w przedpokoju i żegnał się z gospodarzami. Na mój widok zwrócił się z lekkim ukłonem do pani domu:

– Serdecznie państwu dziękuję za tych kilka, cennych dla nas, wiadomości. Niestety, będziemy musieli państwu zająć w przyszłości trochę czasu. Proszę nam wybaczyć, ale pewnie potrzebna będzie jakaś konfrontacja lub dodatkowe wyjaśnienia.

– Ależ proszę bardzo. – Pani domu nie spuszczała z Lisieckiego wzroku. – Zrobimy wszystko, aby panom pomóc.

– Dziękujemy. – Lisiecki z gracją ucałował rękę podsuniętą z wdziękiem przez uroczą panią domu.

Następnie uściśnął dłoń gospodarza.

Wyszliśmy na korytarz.

– Widzę, że oczarowałaś panią domu.

– Jak się ma taki urok osobisty, to nic trudnego – zażartował Lisiecki. – A poza tym zdobyłem pewne informacje.

– O, to ciekawe!

– Pewnego razu pani domu zobaczyła przez wizjer jakąś kobietę, która stała przed drzwiami mieszkania Szerynga. Była to kobieta w starszym wieku. Ubrana skromnie, ale dość elegancko.

– I co więcej?

– Więcej? A to mało? Jeśli mogę wnioskować z miny szefa, to szef nawet takiej wiadomości nie zdobył.

Podzieliliśmy się pozostałymi mieszkaniami na tym piętrze. Przesłuchania trwały krótko: nic nie wiem, nic nie widziałem. Gdy po dobrej godzinie zjeżdżaliśmy na parter, postanowiłem porozmawiać jeszcze z mężem dozorczyńni. Mówiła, że wykonywał w mieszkaniach lokatorów drobne naprawy. Może rozmawiał z Szeryngiem? Może coś więcej wiedział?

Drzwi do mieszkania dozorczyńni były otwarte. Gdy weszliśmy do przedpokoju, z kuchni wyjrzał mężczyzna. Na nasz widok cofnął się szybko i natychmiast pojawiła się jego żona.

– A, to pan? Co się stało? Proszę, proszę dalej – zapraszała do pokoju.

– Zdaje się, że mąż jest w domu? – zapytałem.

– A tak, już przyszedł. Antoś! – krzyknęła w kierunku kuchni. – Chodź tu! Panowie z milicji, do ciebie!

Z kuchni wyszedł mężczyzna, który tak się wystraszył na nasz widok. Wystraszył? Rzeczywiście, ten Antoś był wyraźnie zdenerwowany.

– Proszę, czym mogę panom służyć?

Jego ręce były bez przerwy w ruchu.

– Chcemy porozmawiać z panem o Szeryngu.

– Ja nic nie wiem – stwierdził szybko Antoś. Może nawet zbyt szybko. – Nic panom nie będę mógł powiedzieć.

– Niech pan nie będzie za skromny – wtrącił się Lisiecki.

Spojrzałem na niego. Miał w twarzy ten wyraz czujności, który zauważyłem u niego w ważnych momentach dochodzenia. Ma nosa chłopak! Bo tu coś śmierdzi.

– Panie Szczepański – odezwałem się szybko. – Jak mi powiedziała pańska żona, zajmuje się pan od czasu do czasu drobnymi naprawami w mieszkaniach lokatorów?

– A co to za naprawy, panie! Komuś kran przecieka, drugiemu trzeba zamek wstawić. Przecież to nie przestępstwo.

– Nikt panu nie broni wykonywania tych prac... Chodzi mi tylko o Szerynga. Czy wzywał pana do jakichkolwiek napraw?

– Kilka razy byłem u niego. – Szczepański mówił opryskliwym tonem. I te ręce... Bez przerwy w ruchu. Czy on zawsze taki nerwowy?

– Co pan tam ostatnio naprawiał?

– To drobiazg, panie. Ciekł mu rezerwuar. Pływak był uszkodzony i woda leciała.

- Kiedy to było?
 - Może tydzień temu.
 - Czy rozmawiał pan z Szeryngiem?
 - Tak, trochę.
 - Co mówił?
 - Żebym naprawił ten cholerny rezerwuar, bo szum wody doprowadza go do szału. Tak właśnie powiedział. „Cholerny rezerwuar”. To do niego zupełnie nie pasowało.
 - Był zdenerwowany?
 - Był... Biegał po mieszkaniu, ciskał książkami. Pierwszy raz go widziałem w takim stanie.
 - Kiedy to było?
 - No, przecież mówiłem, tydzień temu.
 - A dokładnie?
 - Czy ja mam pamiętać wszystkie daty! – wybuchnął Szczepański.
 - To niech pan zajrzy do karty pracy.
 - Ja nie prowadzę żadnej karty pracy!
- Mój rozmówca stawał się coraz bardziej krzykliwy.
- Więc jak pan się rozlicza przed spółdzielnią z pracy i materiałów?
 - To moja sprawa, panie!
 - A skąd pan bierze materiały do napraw, jeśli pan się nie rozlicza z pracy? – nie ustępowałem, widząc, że Szczepański jest coraz bardziej zdenerwowany.
 - Ja nie biorę ze spółdzielni żadnych materiałów! – mężczyzna już prawie krzyczał.
 - No to skąd je pan bierze? – pytałem nadal obojętnym tonem.

– To moja sprawa! – powtórzył znów ten sam zwrot.

– Wynosi pan z zakładów?

Szczepański milczał.

– Odpowiadać! – Teraz ja podniosłem głos.

Szczepański skurczył się jak pod uderzeniem.

– Poruczniku! – zwróciłem się do Lisieckiego, nie spuszczać oka z gospodarza. – Wiecie, co macie robić?

– Tak jest, szefie!

Lisiecki wyniósł z kuchni taboret, stanął na nim i zajął na pawlaczu.

– A ja ci, Antoś, mówiłam że to się źle skończy! – rozpląkała się nagle dozorczeni. – Ale ty zawsze chciałeś być mądrzejszy.

Lisiecki otworzył drzwi do łazienki. Po chwili posłyszałem jego głos:

– Szefie! Szef zajrzy tu na chwilę!

Poszedłem za nim i stanąłem jak wryty. Prawie pół podłogi oraz wanna wypełnione były armaturami i częściami do nich. Wróciłem do gospodarzy. Szczepańska zawodziła nadal:

– I co ja teraz biedna zrobię sama i z dzieciakiem! O Boże, Boże! A tak cię prosiłam!

Szczepański stał z opuszczoną głową. Zobaczyłem na etażerze aparat telefoniczny. Wykręciłem numer naczelnika wydziału biura do spraw przestępczości gospodarczej.

– Irek? Cześć stary! Tu Korczuk... Słyszałem, że narzekasz na brak zajęcia. Nie? Jak nie, to nie. Bo jakbyś miał luzy, to chciałem ci coś podrzucić. Zapisuj: Antoni Szczepański, Smocza pięćdziesiąt sześć, mieszkania jeden. Ma w domu cały sklep z urządzeniami sanitarnymi. Zaraz przyjeżdżacie? Dobrze, tylko szybko! Bo ja mam co

innego na głowie, a to tylko taka działalność uboczna. Cześć!

Gdy po dwudziestu minutach zjawili się dwaj funkcjonariusze z gospodarki, wyszliśmy z Lisieckim na ulicę. Był późny wieczór. Lisiecki zaproponował spacer. Szliśmy w milczeniu ulicami pełnymi przechodniów.

– Szefie! – odezwał się po pewnym czasie porucznik. – Marzyło nam się rozszyfrowanie wielkiej sprawy, a tymczasem skończyliśmy na drobnicy.

– Nie od razu Kraków zbudowano – odpowiedziałem znanym porzekadłem, chcąc choć w części dorównać Lisieckiemu.

– To jednak dziwne, szefie! Przez kilka lat ludzie mieszkają w jednym bloku. Co tam zresztą mówić o bloku! Mieszkają na jednym piętrze, prawie drzwi w drzwi, i nic nie wiedzą, niczego nie słyszeli.

– Wiesz, jak to jest. Wszyscy pracują, uganiają się za dodatkowymi zarobkami. A gdy przyjdą do domu, siadają przed telewizorem i cały wieczór mają wypełniony. A że za ścianą coś się dzieje, to nie ich sprawa.

– Tak, szefie. Obojętność moralna to choroba bardzo kulturalnych ludzi.

Spojrzałem na Lisieckiego.

– Ładnie to powiedziałeś.

– To nie ja. To taki jeden Francuz, Amiel.

– „Przekrój”?

– Tak, czyli magazyn wiedzy w pigułkach dla ludzi wielkich, średnich i psa Fanka.

– No to co, wracamy do bazy?

– Najwyższy czas.

- To, cześć! Do jutra!
- Cześć! – Lisiecki już biegł w kierunku przystanku, do którego dojeżdżał właśnie autobus. Ja zaś powlokłem się dalej. On miał się do kogo spieszyć. Na niego czekała dziewczyna. A ja? Na mnie już nikt nie czekał.

ROZDZIAŁ V

Siedziałem w swym pokoju w gmachu Komendy Głównej. Co chwila spoglądałem nerwowo na zegarek. Do ósmej brakowało jeszcze trzech minut. Dopiero za trzy minuty będę mógł poprosić o dane personalne Szerynga, znajdujące się w Biurze Ewidencji Ludności. Naprzeciw mnie, z nogami wyciągniętymi sztywno przed siebie, siedział Lisiecki. Ósma. Poczekam jeszcze dwie, trzy minuty. Nie wypada tak punktualnie.

– Jaki plan na dzień dzisiejszy, szefie? – Lisiecki przerwał milczenie.

– Zaraz to załatwimy. Tylko przed tym zadzwonię do Ewidencji – mówiąc to, wybrałem właściwy numer. – Mówi major Korczuk. Telefon dwadzieścia... dziewięćdziesiąt trzy. Na hasło „Błyskawica” proszę dane o Sewerynie Szeryngu. Szeryng, przez „igrek”. Zamieszkały: Warszawa, Smocza pięćdziesiąt sześć, mieszkania siedemdziesiąt trzy. Miejsce pracy: Instytut Doświadczalny Techniki Budowlanej. To wszystko. Nie muszę chyba dodawać, koleżanko, że sprawa jest bardzo pilna. – Odłożyłem słuchawkę na widełki.

– Teraz, drogi kolego Lisiecki, pomyślmy, co robić dalej. – Zastanowiłem się przez chwilę. Wykorzystał to Lisiecki:

– Szefie! Mówimy stale o samobójstwie. Ale on chciał przekazać nam jakieś wiadomości. Dlaczego tego nie zrobił? A może go zamordowano? Spróbujmy sprecyzować wszystkie „za i przeciw”. Dopiero wtedy przyjmujemy jakiś kierunek działania.

- A ty, jak sądzisz? Co to mogło być?
- Jeszcze nic nie sędzę.
- No to rozpatrzmy te twoje „za i przeciw”.

Wyjąłem blok papieru. Podzieliłem kartkę na trzy części. Nad pierwszą rubryką napisałem: „argument”, nad drugą „samobójstwo”, nad trzecią „morderstwo”. Lisiecki rozpoznał:

– To, że Szeryng był w NRF u rodziny, wcale nie znaczy, że został zwerbowany przez wywiad NRF... Bał się, to fakt, ale czy zemsty ze strony wywiadu zachodnioniemieckiego... Mógł coś spostrzec w pracy, wpaść na ślad jakiejś afery i stąd jego zdenerwowanie.

Zapisałem „szpiegostwo, afera biurowa”, a w obu następnych rubrykach postawiłem znaki zapytania.

– Słucham, co dalej?

– Chciał się z nami skontaktować, miał dla nas jakąś wiadomość... To już jest coś. Ten, kto podjął taką decyzję, nie popełnia przed tym samobójstwa... Ale z listu wynika, że był obserwowany. Jego wrogowie mogli go nastraszyć, zagrozić... Szeryng przeraził się groźby i popełnił samobójstwo.

– Więc jaki wniosek? Mam postawić znów dwa znaki zapytania?

Lisiecki zastanawiał się. Wreszcie niepewnie stwierdził:

- Raczej tak.

- Co dalej?
- To byłoby wszystko.
- Niewiele was w tym Szczytnie nauczyli.
- Osioł udając się do Mekki nie wróci stamtąd pielgrzymem – przytaknął z rozbijającą miną Lisiecki.
- Twoje?
- Nie, arabskie...
- A jakąś swoją genialną myśl mógłbyś zacytować?
- Proszę, bardzo, szefie! Dla szefa wszystko, tym bardziej że nadchodzi rocznica MO i będą premie. Życie jest jak most...
- Dlaczego?
- A bo ja wiem?

Spojrzałem na Lisieckiego. Nie wiedziałem, jak zareagować. Lisiecki siedział z miną aniołka. W rezultacie postąpiłem tak, jak czyni większość osób w podobnej sytuacji:

- Przestań się wygłupiać, a więcej myśl o sprawie! – ofuknąłem go.
- Myślę bez przerwy, szefie. Boję się nawet, by mi od tego myślenia nie porobiły się jakieś odciski na mózgu.
- Zapamiętałeś wszystkie szczegóły techniczne? Na przykład pistolet.
- Pistolet PW wzór 33, kaliber 7,62. Popularnie zwany „tettetką”. Ciężar pistoletu z nabojami 940 g, ciężar bez naboju 825 g – wyrecytował jednym tchem Lisiecki.
- Nie o to chodzi! Gdzie był pistolet?!
- W rękę Szerynga. – Lisiecki przerwał raptownie. – A, o to szefowi chodzi? Zaraz po oddaniu strzału następuje u samobójcy

rozkurcz mięśni. To znaczy, że pistolet wypada mu z ręki. Skurcz następuje dopiero po kilku sekundach.

– A widzisz! To jest nareszcie pierwszy namacalny dowód, że Szeryng nie popełnił samobójstwa – oznajmiłem z triumfem w głosie.

– Tylko że nie ma reguły bez wyjątków. Czasami zdarza się, że rozkurcz mięśni nie następuje – w głosie Lisieckiego brzmiała niepewność.

– Taki przypadek zdarza się raz na tysiąc. A ja nie jestem pechowcem. Poza tym uwaga na marginesie: przestań teoretyzować, chłopie. Skup się na konkretach.

– Gdy szef przyszedł do pracy po szkole, to też od razu nie był orłem – odparował Lisiecki.

– Nie, nie byłem – przyznałem szczerze.

– Tak samo jest ze mną – spokojnie zakończył Lisiecki.

Chciałem wpisać do moich rubryk punkt o pistolecie, gdy nagle ciszę przerwał ostry dźwięk dzwonka.

– Major Korczuk, słucham!

Dzwoniła sekretarka „starego”, jak nazywaliśmy szefa Biura. Panna Krysia informowała, że zamówiony przeze mnie na godzinę 8.20 pojazd jest już do dyspozycji. Podziękowałem z całym szacunkiem, patrząc jednocześnie na zegarek. Była 9.00.

– Biorę samochód na dwie, najwyżej trzy godziny. Gdyby ktoś o mnie pytał, będę z porucznikiem Lisieckim w Zakładzie Kryminalistyki.

Samochód stał na parkingu przy ul. Broniwoja. Sierżant Szych drzemał w wozie z głową opartą o zagłówek.

– Ten człowiek ma melodię! – zaczął Lisiecki. – Wystarczy, by na chwilę się zatrzymał, a już śpi... Takiemu to dobrze! Taki to pożyje! Nie to, co my: zawsze na stanowisku, zawsze w pierwszej linii. Bystre oko, czujne ucho! W rezultacie po kilku latach takiego życia nerwica żołądka gotowa. A w perspektywie zawał.

Otworzyłem drzwi samochodu. Szych wyprostował się błyskawicznie, zapalając jednocześnie silnik. Skręcając w Puławską, zapytał:

- Dokąd lecimy, towarzyszu majorze?
- Zakład Kryminalistyki.

Szych wziął na pełnym gazie zakręt przy ulicy Idzikowskiego i jak strzała pomknął w kierunku placu Unii.

Lisiecki nie wytrzymał i rozpoczął słowną potyczkę z Szychem:

– Panie Kaziu! Pan już nigdy nie zostanie dobrym kierowcą. Nie stosuje się pan do wskazówek mistrza Zasady i siedzi pochylony nad kierownicą.

– Lepiej pochylać się co jakiś czas nad kierownicą niż cały dzień nad papierami – odciął się Szych.

– Widzę, panie Kaziu, że obcowanie ze mną wychodzi panu na dobre: język się panu nieco zaostrzył.

Szych skręcił w Aleje Ujazdowskie i z fasonem zahamował przed wejściem do Zakładu.

– Ci się pięknie ustawili! – Lisieckiemu nie zamykały się usta nawet na chwilę. – To się nazywa dobre miejsce do pracy! Cały czas w parku!

Zdążyłem zapytać sekretarkę o naczelnika, a już drzwi do jego

gabinetu otworzyły się.

– Witaj, Jerzy! Dawno się nie widzieliśmy! – Gospodarz z serdecznym uśmiechem zapraszał nas do siebie.

Z podpułkownikiem Ryśkiem Zawadzkiem znaliśmy się od początku naszej kariery w organach Milicji. Prawie o tej samej godzinie zgłosiliśmy się do wydziału kadr MO, gdy Komenda Główna mieściła się jeszcze w ciasnym budynku przy ul. Karowej. Przez pewien czas pracowaliśmy nawet razem.

– Witaj, chlubno kryminalistyki! – roześmiałem się. – Czytałem twój artykuł w „Służbie MO”. Dotyczył, o ile dobrze pamiętam, identyfikacji pisma człowieka leworęcznego. Tyle tego publikujesz, że już nawet nie pamiętam tytułów.

Po krótkiej ceremonii powitania gospodarz usadowił nas w wygodnych fotelach:

– Napijcie się czegoś?

– Myślę, że kawa dobrze mi zrobi. Wprawdzie staram się jej unikać, ale dziś mam trochę przyciężką głowę – tłumaczyłem, a Lisiecki znów zaczął filozofować:

– Zarówno kofeina, jak i teina są truciznami. Jeśli więc muszę się truć, to wolę tańszym kosztem. Dlatego poproszę o herbatę.

Podpułkownik Zawadzki przekazał nasze życzenia sekretarce, po czym wziął z biurka dużą szarą kopertę i usiadł naprzeciwko.

– No i co u ciebie słysząc? – zwrócił się do mnie. – Słyszałem, że na Święto Odrodzenia dostałeś Złoty Krzyż Zasługi. Gratuluję ci z całego serca!

– Dziękuję, a co u ciebie? – zadałem grzecznościowe pytanie, chociaż chciałem, by zaczął już mówić o sprawach służbowych.

– Nic nowego. Jak zawsze jestem zawałony pracą – podchwycił ochotczo Zawadzki. – Poza tym ze zdrowiem coraz gorzej. Ostatnio miałem kłopoty z nerkami. Cały miesiąc leżałem w szpitalu na Komarowa. Nafaszerowali mnie pigułkami i zastrzykami. Podobno do emerytury wystarczy.

Weszła sekretarka z tacą. Wykorzystałem ten moment, by skierować rozmowę na interesujący nas temat:

– Widzę, że masz już gotowe analizy.

– Znam cię dobrze! Wiem, że zawsze ci się spieszy. Kazałem więc jak najszybciej opracować te materiały. Niestety, jest tego niewiele. – Zawadzki otworzył kopertę i wyjął z niej formularze, pokryte maszynowym pismem. – Zacznijmy od dokumentów, które nie wnoszą właściwie nic ciekawego do sprawy – rozkładał na kupki poszczególne arkusze. – A więc ślady. Oprócz linii papilarnych należących do Szerynga znaleziono jakieś nie zidentyfikowane ślady palców. Były one na kredensie i stole. Odszukaj sobie ich właściciela. – To mówiąc, wręczył mi jeden z dokumentów wraz z kompletem zdjęć. – Teraz pistolet. Numer nigdzie nie rejestrowany. Nie otrzymaliśmy żadnego meldunku o zaginięciu tego egzemplarza. Pochodzi zapewne z okresu wojny. Sądzę, że został znaleziony przy jakichś zwłokach lub na pobojuwisku. Rysy na łusce pocisku świadczą, że nabój został wystrzelony z pistoletu, który denat trzymał w ręku. Teraz masz coś, co pozwoli ukierunkować śledztwo: analiza otworu wlotowego pocisku na marynarce denata. Otóż gdyby Szeryng popełnił samobójstwo, musiałby strzelać do siebie z odległości, zwanej przez nas bliską lub bardzo bliską. Im dalsza odległość ręki

od celu, tym trudniejsze staje się naciśnięcie spustu, a także zmienia się kąt strzału...

– Przepraszam cię, Rysiu! – przerwałem. – Ale o tym dobrze wiem. Nie zapominaj, że mam już za sobą kilka lat pracy w milicji. Wiem, że im bliższa odległość, tym na przeszkodzie, którą napotyka pocisk, w tym przypadku na marynarce denata, pozostaną wyraźniejsze ślady wystrzału.

– Bardzo przepraszam, towarzyszu majorze! – odezwał się milczący dotąd Lisiecki. – Zawsze towarzysz mówi, że muszę się bez przerwy uczyć. A to jest moja pierwsza sprawa, w której chodzi o upozorowanie samobójstwa. Bo tego się domyślam z dotychczasowej rozmowy.

– Słusznie! – przytaknął Zawadzki. – Siedź cicho i ciesz się, że młoda kadra chce się uczyć! – Po czym zwrócił się do Lisieckiego.

– Badając ślady po wystrzale należy wziąć pod uwagę kilka elementów. Zaczynamy zwykle od sprawy najważniejszej, czyli od zbadania pozostałości termicznego działania gazów prochowych, w wyniku którego wokół otworu wlotowego powstają brunatne plamy, a materiał jest opalony. Tych cennych wskazówek nie można zlekceważyć przy ustalaniu odległości, z jakiej oddano strzał. Druga cecha to osmalenie, czyli nalot sadzy. Im mniejsza odległość strzału, tym szersze osmalenie. I na koniec nie spalone ziarna prochu. Im bliższy strzał, tym więcej ziaren. Jest jeszcze kilka innych cech, ale te trzy mają przy ekspertyzie decydujące znaczenie. – Lisiecki słuchał uważnie i ze zrozumieniem kiwał głową. To było zupełnie proste. – Ekspertyza powyższych cech wykazała – Zawadzki przeszedł

do wniosków – że strzał został oddany z odległości większej niż półtora metra, a więc nie mógł to być strzał samobójczy.

– Wiedziałem od początku, że to było morderstwo, czekałem tylko na dowody – stwierdziłem obojętnie. – Wynik ekspertyzy potwierdził moje przypuszczenia.

Wiem o tym, jak trudno zdecydować się na popełnienie samobójstwa, które zwykle traktowane jest jako ostateczność. Poza tym do tego trzeba mieć dużo odwagi. Nigdy nie zgodzę się z twierdzeniem, że tylko tchórze odbierają sobie życie. Przeciwnie... Samobójca to człowiek odważny. Ale to tylko dygresja. Wróćmy do Szerynga. – Doszedłem do wniosku, że moje rozważania, a właściwie głośne myślenie mogło znużyć słuchaczy. Najwyższy czas, by zastanowić się nad motywami działania mordercy. – Musimy poszukać przyczyny śmierci Szerynga – zwróciłem się do Lisieckiego. – Ale gdzie? W jego życiorysie? Wśród kolegów? Wśród sąsiadów? – Martwiło mnie to, że nie miałem dotychczas żadnego śladu, żadnego tropu, który, raz uchwycony, doprowadziłby mnie do celu.

– Gdyby to było samobójstwo, miałbyś już spokój – starał się mnie pocieszyć Zawadzki. – A tak, dopiero zaczynasz sprawę.

– Nie byłoby tej, byłaby inna – machnąłem ręką. – Dziękuję za informacje. A te papierki przyślij mi jak najprędzej.

– Zrobione! Zaraz wyślę!

– Dziękuję! Do zobaczenia!

– Do zobaczenia!

Tak! Jemu łatwo powiedzieć „Do zobaczenia”. On już załatwił interesanta. A ja? Przede mną, kto wie, jak długa jeszcze i kręta droga.

Zatrzymałem się przy samochodzie.

– Słuchaj, Lisiecki! Bierzemy się do roboty! Wyciągaj notes i pisz! Po pierwsze: choćbyś miał stanąć, na głowie, musisz zdobyć jakąś informację o osobach, z którymi Szeryng się kontaktował! Przecież ktoś go odwiedzał. Aha! Co z tą sąsiadką? Mówiłeś, że widziała jakąś kobietę, pukającą do jego mieszkania. Niech poda rysopis. Trzeba ją odnaleźć. Jeszcze jedno: Szeryng został zabity w swoim mieszkaniu, wpuścił więc kogoś do środka. Ponieważ nie zauważyliśmy żadnych śladów walki czy oporu ze strony zamordowanego, stąd wniosek, że był to ktoś, kogo on znał.

– Szef to ma poczucie humoru, jak babcię Kocham! Jak mam zdobyć te informacje, skoro nikt nic nie wie, nikt niczego nie widział – rozpaczał Lisiecki. – Że też większość zamordowanych, to same odludki.

– Nie dowcipkuj! Bierz się do dzieła! – Nie miałem nastroju do żartów. – Ja też mam jedynie nikły ślad. Dozorczyńni mówiła, że Szerynga odwiedzał jakiś kolega biurowy.

– Tak jest, szefie! Ale, à propos... Najpierw szef pakuje do „pu-dła” męża dozorczyńni, a później chce, by ona nam pomogła. To najlepszy dowcip tygodnia! – Lisiecki parsknął śmiechem.

– Nie mędrkuj! Szych podwiezie mnie na Marszałkowską, a potem podrzuci ciebie na Smoczą.

Wsiadliśmy do wozu.

– Chciałem przypomnieć – odezwał się Lisiecki – że szef ma zamówioną rozmowę z Ewidencją Ludności.

– Słusznie, zupełnie zapomniałem!

Podniosłem mikrotelefon.

– R-2018! Tu R-2093! Zgłoś się!

W słuchawce rozległ się krótki trzask, a następnie głos naszego dyżurnego:

– Tu R-2018! R-2093, słucham cię!

– Przekaż dyrektorowi: sprawa Szerynga, to morderstwo. Biorę wóz. Jadę do Instytutu Doświadczalnego Techniki Budowlanej na Marszałkowską. To miejsce pracy Szerynga. Lisiecki jedzie na Smoczą. Przyjmij z Ewidencji Ludności dane o Szeryngu. Nie wiem, kiedy wrócę. Odbiór!

– Tak jest! Zrozumiałem! – dyżurny powtórzył moje słowa. – Życzę powodzenia!

– Tu R-2093! R-2018, odmeldowuję się!

– Tu R-2018! Przyjąłem!

Szych pędził już Marszałkowską. Jeszcze kilkaset metrów i stanęliśmy przed gmachem Instytutu Doświadczalnego.

– Cześć, poruczniku! Spisz się dobrze! Daj mi zaraz znać, gdybyś coś znalazł!

Wóz odjechał. Zostałem sam przed olbrzymim gmaszyskiem. Westchnąłem ciężko i poszedłem w kierunku dużych, oszklonych drzwi... Co mnie za nimi spotka? Czy dowiem się wreszcie czegoś ciekawego?

ROZDZIAŁ VI

Naczelnik wydziału kadr z przesadną grzecznością zapraszał mnie do gabinetu:

– Proszę, proszę, panie majorze. Zrobimy wszystko, co w

naszej mocy, by pomóc naszej kochanej milicji w wyjaśnieniu tej smutnej sprawy! Proszę siadać, panie majorze! Zaraz postaramy się ułatwić naszej dzielnej milicji dostęp do akt! – Usta jego nie zamykały się ani na chwilę. Nie podobał mi się. A już zupełnie zraził mnie do siebie tym konfidencjonalnym zwrotem „nasza milicja”. Nie lubiłem tego.

– Panno Zosiu! – naczelnik nacisnął włącznik mikrofonu. – Proszę dostarczyć mi akta personalne Szerynga!

I znów mówił do mnie:

– Ach, panie majorze! Jesteśmy bardzo przejęci tą sprawą! Ten Szeryng, taki dobry, spokojny pracownik. I tu nagle samobójstwo! – Postanowiłem nie wyprowadzać go z błędu. Może morderca znajduje się w tym gmachu? Niech wie, że jesteśmy na fałszywym tropie. Tak będzie lepiej.

– Ale mam nadzieję, że milicja wyświecili okoliczności tej sprawy – naczelnik paplał nadal. – Czekamy na to wszyscy – przerwał.

Do pokoju weszła panna Zosia, zgrabna blondynka, ubrana, moim zdaniem, w zbyt krótką mini-spódnicę. Położyła na biurku cienki skoroszyt i widząc moje zainteresowanie jej naprawdę zgrabnymi nogami szła ku drzwiom, starając się naśladować ruchy modelek.

– Proszę, oto akta personalne Szerynga – naczelnik podsunął mi otwartą teczkę.

Przysunąłem ją do siebie. Na wierzchu leżała kartka ze zdjęciem człowieka, którego widziałem na podłodze mieszkania przy ul. Smoczej. Twarz raczej pospolita. Nie było w niej nic, co mogłoby pozostać na dłużej w pamięci. Szeryng nie był brzydki. Nie należał też do wyjątkowo przystojnych. Zresztą – pomyślałem, po co mi teraz

jego twarz... Ja potrzebuję mordercy. Obok zdjęcia dane personalne: Seweryn Szeryng, syn Wilhelma i Hildegardy z domu Rauch. Urodzony 13 grudnia 1940 roku w Pile. W 1958 roku ukończył technikum ekonomiczne w Poznaniu. Od września 1958 roku do lutego 1960 roku zatrudniony jako sprzedawca w sklepie WSS w Poznaniu. Od marca 1960 roku pracuje w Instytucie Doświadczalnym Techniki Budowlanej jako archiwista, grupa uposażenia, odznaczeń brak. Przewracałem powoli kartki. Życiorys, podanie o przyjęcie do pracy, podanie o zezwolenie na wyjazd do NRF z 1 czerwca 1972 roku... Do siostry, Gertrudy Terme, zamieszkałej w Wuppertal... Opinia kierownika, decyzja naczelnika kadr, zgoda dyrektora.

– Czy możecie mi powiedzieć, co właściwie robił u was Szeryng? – zwróciłem się do kadrowca.

– Pracował w archiwum. Do jego obowiązków należało wykonywanie odbitek na powielaczu, a od pewnego czasu odbitek kserograficznych. W wolnych chwilach pomagał przy porządkowaniu dokumentacji i wypożyczał odbitki dokumentów.

– Czy prowadzicie jakieś prace o charakterze tajnym?

– O, tak! I to dość często. Współpracujemy z wojskiem. Raz czy dwa razy otrzymaliśmy nawet zlecenie z waszego resortu. – Kadrowiec powiedział to prawie z entuzjazmem. – Wie pan, panie majorze, jak to jest w instytutach. Przeprowadzamy doświadczenia, próby z nowymi materiałami budowlanymi... Dążymy do obniżenia kosztów budowy przy jednoczesnym podwyższaniu wygód i bezpieczeństwa.

– Dobrze, dobrze! – Przerwałem może niezbyt grzecznie. –

Czy Szeryng miał dostęp do tej dokumentacji?

– Miał, naturalnie! Wprawdzie dokumentacja tajna jest opracowywana i przechowywana w specjalnych pomieszczeniach, ale powiela się ją razem z dokumentacją jawną. Pan przypuszcza? Nie, to niemożliwe. Do Szerynga mieliśmy całkowite zaufanie. Podpisał oświadczenie o przestrzeganiu tajemnicy służbowej.

– Przyjaźnił się z kimś? Był lubiany?

– O tak! Był bardzo koleżeński! Starał się każdemu pomóc. Nikogo nie krytykował. Wypełniał dokładnie polecenia przełożonych. A czy się z kimś przyjaźnił? – Naczelnik powtórzył pytanie i zastanawiał się przez moment. – Na ten temat mógłby chyba powiedzieć coś więcej jego bezpośredni przełożony, inżynier Fabisiak.

Inżynier Fabisiak był młodym, trzydziestoparoletnim mężczyzną o wyglądzie i sylwetce sportowca.

– O Szeryngu nie można mówić źle, towarzyszu – rozpoczął, gdy poprosiłem go o scharakteryzowanie denata. – Był to dobry pracownik, pełen inicjatywy, lubiący swoją pracę. Uczynny, koleżeński, sumienny. Zdarzyło się kilka razy, że odwoływaliśmy go z urlopu. Przychodził, nie oponował. Przeciwnie, pracował jeszcze za koleżanki z archiwum.

– Czy miał przyjaciół?

– Miał, owszem. Ale przeważnie tu, w biurze. Popołudnia i wieczory, o ile się orientuję, spędzał samotnie. W czasie choroby korzystał z pomocy naszego gońca.

– Czy ten goniec odwiedzał go w domu?

– Tak! Bardzo często. Łączyły ich nawet jakieś interesy. Ostatnio Matuszczak, to właśnie nasz goniec, miał pośredniczyć w

sprzedaży jakiejś cennej starej książki, należącej do Szerynga. To podobno „biały kruk”.

Morderstwo w celach rabunkowych? Czy to możliwe? – zastanawiałem się, głośno zaś spytałem:

– Wie pan coś bliższego o tym gońcu?
– Coś bliższego? Raczej nie. Powiem panu szczerze. Nie lubię tego człowieka. Moim zdaniem to niewyraźny typ „Wielki aferzysta na małe afery”.

– Jego dane personalne?
– Wojciech Matuszczak. Dokładnej daty urodzenia nie pamiętam. Zdaje mi się, że z czterdziestego drugiego roku.

– Jest dziś w pracy?

– Jest.

– Proszę mu nie mówić, że o niego pytałem.

– Dobrze, towarzyszu majorze!

Pożegnałem się z Fabisiakiem. Wyszedłem z gmachu rozczarowany. Właściwie nie dowiedziałem się niczego konkretnego. Co za sprawa. Żadnego punktu zaczepienia. Szedłem Marszałkowską. Starałem się ułożyć jakiś plan działania. Szło mi to dość opornie. Hałas przejeżdżających tramwajów i warkot samochodów utrudniały myślenie. Poza tym ten tłum... Wiecznie spieszący się niezdyscyplinowany, bezwzględny, agresywny.

Mijam roześmianą grupę młodzieży. Jacyż oni hałaśliwi. Starsi spoglądają na nich z dezaprobatą. Ale mnie to nie przeszkadza. Lubię i wierzę w młodzież. Jest dorodna, pracowita, mądra. Często zastanawiam się, skąd ta wiara. Przecież na co dzień stykam się przeważnie z ludźmi wykolejonymi. Goniec, co to za chłopak?

Jeśli wierzyć temu, co o nim usłyszałem, należy do tych, którzy rzucają cię na dobre imię młodych... Trzeba go wziąć pod obserwację... Bywał w mieszkaniu Szerynga! Należy więc do kręgu podejrzanych! Co to za księga, ten „biały kruk”? W mieszkaniu Szerynga nie zauważyłem żadnego cennego wydawnictwa... Zresztą ja się na tym nie znam. Będę musiał poprosić fachowca, aby zobaczył książki Szerynga... Może sprawa jest zupełnie prosta. Może to goniec zabił, aby przywłaszczyć pieniądze za cenną książkę. Czy to musi być afera szpiegowska? A pobyt w NRF? E, nie przesadzajmy! Chociaż, kto wie? „Gdyby wszyscy ludzie byli uczciwi, my bylibyśmy bezrobotni” – przypomniały mi się dość dawno zastyszane słowa.

Dotarłem do gmachu Komendy, pokazałem wartownikowi legitymację i szybko wbiegłem po schodach na pierwsze piętro. Idąc do mego pokoju, wstąpiłem po drodze do gabinetu oficera dyżurnego. Czekają tu na mnie informacje o Szeryngu, przekazane z Biura Ewidencji Ludności. Nie zawierały niczego więcej ponad to, co już wiedziałem.

Wcisnąłem przycisk sekretariatu w selektorze:

- Słucham, sekretariat! – zgłosiła się sekretarka „starego”, panna Krysia.
- Czy zgłaszał się Lisiecki? – spytałem.
- Tak, dzwonił przed kilkunastu minutami. Powinien wkrótce zgłosić się do obywatela majora.
- Miał coś dla mnie?
- Tego nie mówił.
- Dziękuję! Jest pułkownik?
- Jest.

- W złym humorze?
- Widział go pan kiedy w dobrym? – odpowiedziała pytaniem panna Krysia.
- Chciałem się do niego dostać.
- Proszę zaczekać, zaraz zapytam. – Czekałem na odpowiedź, nie przerywając połączenia. – Może pan przyjść – zabrzmiał po chwili głos panny Krysi – ale nie na długo, bo pułkownika wezwano na odprawę do zastępcy komendanta.

Zatrzymałem się na moment w sekretariacie, by poprawić krawat i przyczesać włosy, po czym zapukałem w futrynę. Zawsze miałem z tym pukaniem problemy. Gdzie tu pukać, gdy drzwi są obite materiałem dźwiękochłonnym?

Na mój widok pułkownik podniósł się z fotela i wyszedł mi naprzeciw. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Co u was, majorze? Tylko proszę możliwie krótko, bo za dziesięć minut mam być na odprawie u pułkownika Zembrzuskiego.

– Zdaje mi się, towarzyszu pułkowniku, że trafiłem na nikły ślad w sprawie Szerynga. Konieczna będzie jednak obserwacja pewnej osoby. Na jak długo, nie wiem...

– Obserwacja, obserwacja! Łatwo wam mówić. A później kilku ludzi tygodniami włóczy się za osobnikiem, który w rezultacie okazuje się aniołkiem – obruszył się pułkownik. – Gdybym na każdy wniosek zarządzał obserwacją, to musiałbym zatrudnić jeszcze ze stu wywiadowców...

- Ale to jest jedyny ślad, jaki dotychczas udało mi się znaleźć.
- Dobrze, majorze! Znam was nie od dzisiaj i wiem, że nie przyszlbyście do mnie, gdyby sprawa nie była ważna. Po odprawie

wydam odpowiednie polecenie. A wiecie przynajmniej, kogo trzeba obserwować?

– Towarzyszu pułkowniku! – To był żart, wiedziałem, ale nie udało mi się ukryć oburzenia.

– No, dobrze, dobrze! Teraz muszę już iść!

Skierowaliśmy się do drzwi.

– A obserwację macie załatwioną! Zapiszcie mi dane delikwenta.

Wróciłem do swego pokoju, gdzie zastałem już Lisieckiego.

– No i co? Znalazłeś coś? – zapytałem z zaciekawieniem.

– Tak jest, szefie. Sąsiadka Szerynga podała mi dość dokładny rysopis tej starszej pani, pukającej do drzwi...

– To dobrze. Umów się na jutro z portrecistą z Zakładu i ściągnij tę sąsiadkę. Niech zrobią portret pamięciowy.

Usiadłem przy biurku i oparłem głowę na obu rękach. Jeśli ten ślad będzie dobry, to znaczy, że jestem dzieckiem szczęścia.

ROZDZIAŁ VII

Punktualnie o dwunastej weszliśmy do Zakładu Kryminalistyki. Pani Stanisława Kamińska, sąsiadka Szerynga, czekała już w poczekalni. Na widok porucznika Lisieckiego uśmiechnęła się i podniosła z fotela.

– Dzień dobry! Witam panią! Bardzo przepraszamy, że musieliśmy panią fatygować, ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by hasło „od nas wyjdiesz uśmiechnięty” nie było tylko sloganem bez

pokrycia! – Porucznik Lisiecki, jak zawsze, przesadzał w uprzejmości, która, często mu na to zwracałem uwagę, nie pasowała do oficera milicji, wykonującego czynności służbowe. – Pani pozwoli: mój przełożony, major Korczuk, który prowadzi śledztwo.

Uścisnąłem rękę pani Kamińskiej lustrując ją jednocześnie od stóp do głów. Miałem brzydki zwyczaj spoglądania na każdego, jakby był podejrzanym. Nie znalazłem nic w tej kobiecie, co mogłoby wzbudzać nieufność. Pani Kamińska była sympatyczną, pełną wdzięku osobą. Ubrana skromnie, lecz elegancko. Żółta kurtka i brązowe, świetnie skrojone spodnie idealnie pasowały do tej pory roku. Nie wyglądała na swoje czterdzieści lat. Najwyżej na trzydzieści trzy, może trzydzieści pięć. Przeprosiłem Kamińską i wszedłem do gabinetu kierownika Zakładu Kryminalistyki.

Zawadzki był jak zawsze serdeczny. Zapytał o moje zdrowie i sprawy rodzinne. Później wymieniliśmy informacje na temat interesującej nas sprawy. Teraz mogła już przyjść Kamińska. Gospodarz wylewnie uścisnął jej rękę i otrzymał w zamian najmiłszy uśmiech. Gdy ceremonia powitania dobiegła końca i wszyscy zajęli miejsca w wygodnych fotelach, pułkownik Zawadzki zwrócił się do Kamińskiej:

– Poprosiliśmy panią o przybycie w bardzo ważnej sprawie, związanej z morderstwem. – Na widok zdziwionej miny gościa dorzucił kilka słów wyjaśnień.

– Jest pani pierwszą osobą spoza kręgu prowadzących śledztwo, którą informujemy o tym. Pani sąsiad, Szeryng, został zamordowany. Zabito go strzałem z pistoletu. Dlatego musimy wiedzieć, kto go odwiedzał, z kim się spotykał. Niestety, jak dotąd, nie mamy na ten

temat żadnych informacji. Jedyne pani widziała jakąś osobę pukającą do drzwi Szerynga. Od pani zeznań, od dokładności, z jaką uda się pani opisać tę osobę, będzie zależało tempo prowadzenia śledztwa. Dlatego prosimy o wypowiedzi jak najbardziej przemyślane i jak najbardziej szczegółowe.

Kamińska, wpatrzona szeroko otwartymi oczami w twarz pułkownika Zawadzkiego, skinęła głową jak automat.

– Teraz przejdziemy do innego pomieszczenia, w którym nasz plastik na podstawie pani opisu postara się odtworzyć portret osoby widzianej przez panią. Będzie to tak zwany portret pamięciowy. – Pułkownik wstał i wskazał ręką drzwi.

Zeszliśmy do piwnicy, w której mieściły się laboratoria Zakładu Kryminalistyki. Ściany korytarza wyłożone płytami dźwiękochłonnymi o jasnych, pastelowych kolorach i efektowne oświetlenie jarzeniowe stwarzały miły nastrój, daleki od surowości panującej w pomieszczeniach biurowych. Pokój, do którego weszliśmy, przypominał salę projekcyjną. Jego ściany wyłożone były również płytami dźwiękochłonnymi, wykończonymi boazerią. Na jednej z nich wisiał mały ekran, a naprzeciwko niego stał na trójnogu rzutnik. Obok rzutnika stało niewielkie biurko, zza którego na nasz widok podniósł się młody mężczyzna. Był to porucznik Kazimierz Mirski – zakładowy plastik. Po przywitaniu i wskazaniu nam miejsc Mirski wyłączył górne światło. Siedzieliśmy w ciemności. Mrok rozpraszała jedynie mała lampka, oświetlająca biurko z akcesoriami niezbędnymi do odtworzenia portretu pamięciowego. Poczesne miejsce zajmował wśród nich gruby album z paskami przezroczystego celuloиду –

każdy zawierał jakiś fragment głowy i twarzy ludzkiej. Powtarzały się one w nieskończoność. Nigdy nie mogłem spokojnie patrzeć na te wąskie paseczki. Przez kilka stron spoglądają na człowieka same oczy: okrągłe, podłużne, skośne, zwężone – jakby złe, zdziwione, z zezem... Dalej nie kończąca się parada wąsów: sarmackich, hiszpańskich, sumiastych i cienkich jak nitka, podkręconych do góry i z końcami opuszczonymi do dołu... Potem brwi, podbródki, usta, nosy... Brr, można dostać oczopląsu! Porucznik Mirski zadał pierwsze pytanie:

– Czy kobieta, którą pani widziała, miała twarz owalną czy podłużną?

Kamińska namyślała się chwilę, wreszcie odpowiedziała:

– To była raczej owalna twarz.

Mirski wyjął z albumu jeden pasek i wsunął do rzutnika. Na ekranie pojawił się rysunek twarzy.

– Jakie miała włosy: gładko uczesane, zaondulowane, krótkie?
– zapytał Mirski.

– Miała gęste, zaondulowane.

Od góry ekranu zaczęły spływać włosy. Gdy dotknęły owalu czaszki, rysunek znieruchomiał.

– Czy takie?

– Nie, były dłuższe. Sprawiały wrażenie nastroszonej kopy siana.

Włosy zniknęły z ekranu. Po chwili zjechała w dół nowa fryzura.

– O, raczej takie – stwierdziła Kamińska. – Trudno mi powiedzieć coś więcej, bo ona była w kapeluszu. – W głosie kobiety

przebijał ton usprawiedliwienia.

Siedziałem w fotelu, klnąc w duchu chwilę, w której zgodziłem się uczestniczyć przy odtwarzaniu portretu. Widziałem to już kilkadziesiąt razy i wiem, jak długi i trudny to proces. Ten ceremoniał ciągnie się dobrych kilka godzin. Tu nie wystarczy powiedzieć – miała długi nos, lub – miała duże odstające uszy... Taka informacja to zaledwie wstęp do dalszych ustaleń. Odpowiedź, ma długi nos, pociąga za sobą kolejne pytania: nozdrza szerokie czy wąskie? A jaka była odległość nosa od górnej wargi? Czy brwi schodziły się nad nosem? I tak dalej, i tak dalej... Do tego porucznik Mirski, świadom wartości portretu pamięciowego, starał się wykonać go jak najdokładniej. Poprawiał i uzupełniał go bez końca.

Na ekranie pokazały się oczy. Parę razy wspinały się w górę i zjeżdżały w dół, by zająć wreszcie swoje miejsce w zarysie twarzy. Potem podskakiwały brwi. Wreszcie po dłuższej chwili zaczął swą kilkakrotną wędrówkę nos. Patrzyłem na tę powoli rodzącą się twarz. Twarz zbrodniarza? Wspólnika? Czy podobna do oryginału? Będziemy szukali osoby z portretu i znajdziemy wreszcie podobną, kropka w kropkę... Tyle tylko że może to być osoba zupełnie niewinna, nie mająca nic wspólnego nie tylko z Szeryngiem, ale i z Warszawą.

Z zadumy wyrwał mnie błysk zapalonego światła. To Mirski robił przerwę. Kamińska była już porządnie zmęczona. My też. Pułkownik Zawadzki zaprosił nas do bufetu. Wyszliśmy z dusznego pomieszczenia i odetchnęliśmy pełną piersią. Byłem trochę senny, z przyjemnością więc wypłem filiżankę mocnej kawy. Wiedziałem, że robię głupstwo, że zaraz zaczną się bóle. Zacząłem szukać proszków.

Znalazłem pudełeczko z „Proacidem”. Niewiele tych tabletek pozostało – stwierdziłem z żalem. Trzeba będzie pójść do doktora Chmielewskiego po powtórzenie recepty... Gdy opróżniliśmy szklanki, a po wafelkach zostały same okruszki, pułkownik Zawadzki zaproponował, aby przystąpić do dalszego ciągu „akcji”. Nie miałem już siły siedzieć w tym dusznym pokoju, wymówiłem się więc brakiem czasu i wraz z Lisieckim opuściłem Zakład Kryminalistyki.

Wyszliśmy w Aleje Ujazdowskie. Było ciepło... Drzewa Parku Łazienkowskiego okryte zielenią, żółcieniem i brązem użyczaly łaskawie ulicy pastelowej barwy. Łazienki wydały mi się rajem pełnym niezemskich zapachów i odurzających woni. Nie chciało mi się wracać do biura.

– Chodź, Rysiu! Zapraszam cię do „Trou Madame”. Niech mi to naczelnik Wydziału Ogólnego odpuści, a dyrektor Departamentu Kadr daruje! – klepnąłem Lisieckiego po plecach.

– Nic nie szkodzi, szefie! Gdy ciągniemy pracę do późnej nocy, nie upominamy się o zwrot godzin. Możemy sobie chyba uszczknąć z naszego zapasu kilkanaście minut. A pomysł jest godzien realizacji.

W kawiarni było tłoczno, ale znaleźliśmy wolny stół.

– Jeszcze raz kawa, czy herbata dla odmiany? – spytałem.

– To zależy, kto płaci.

– Ja!

– Wobec tego proszę kawę.

Dla siebie zamówiłem herbatę. Na deser – coca-colę. Choć te perfumy z landrynkami nie smakowały mi, ale co zamówić w lokalu

kategorii pierwszej?

– Słuchaj, stary – wyrwał mnie z zamyślenia głos Lisieckiego. – Mam wrażenie, że od pewnego czasu coś cię gnębi. Jesteś coraz częściej zamyślony, zaczynasz stronić od towarzystwa... Wybacz, że wtrącam się w twoje sprawy, ale wiem, że w tych dniach masz mieć sprawę rozwodową. Czy to jest powód? A może masz kłopoty w pracy?

– Właściwie i jedno, i drugie. Chyba nie przypuszczasz, że rozwód nastraja radośnie... Poza tym nie najlepiej się czuję. Żołądek odmawia mi posłuszeństwa. A wiesz, jak ja lubię jeść. Chyba muszę pomyśleć o emeryturze. A praca? Zawsze podobał mi się mój zawód. Sądziłem, że wykonując go sumiennie, będę mógł, chociaż w niewielkim stopniu, przyczynić się do wyeliminowania zła, którego w życiu jest jeszcze sporo. Że będę mógł coś naprawić, zmienić. Czy to mi się udało? Nie wiem. Dziś, po dwudziestu latach pracy w milicji, mam sporo wątpliwości. Sądzę, że nie zdołałem osiągnąć celu.

– Powiem ci szczerze, że nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi. Chyba nie o odznaczenia i nagrody?

– Nie upraszczaj sprawy. Znasz mnie nie od dzisiaj i wiesz, że nigdy mi na nich nie zależało. Chciałbym jednak, żeby społeczeństwo dostrzegło nasz wysiłek. Poznałeś już dość dokładnie charakter naszej służby, zdajesz sobie sprawę, jak jest niebezpieczna. Ożenisz się i zobaczysz wtedy, ile bezsennych nocy spędzi twoja żona, czekając na ciebie. A ile godzin niepewności przeżywa już teraz twoja matka. Dlaczego inni nie chcą tego dostrzec? Uważam, że popełniłem błąd. Powinienem siedzieć przy biurku i przekładać papierki. Stempelek, podpis i sprawa załatwiona...

– Nie wygłupiaj się. Nie mówisz tego poważnie. Jeśli rozumiesz w ten sposób, to dlaczego siedzisz ciągle w milicji? Swoje lata wysłużyłeś! Nikt cię nie trzyma! Możesz odejść! – Lisiecki przerwał, zdając sobie sprawę, że zaczął mówić zbyt głośno. Patrzyłem na niego z sympatią, a on kończył ściszym już głosem: – To filozofia wygodnia i sybaryty. A ty do nich nie należysz. To dobre dla ludzi bez charakteru, a ty masz charakter.

Skinieniem ręki przywołałem kelnerkę, by uregulować należność. Idąc w stronę Alei Jerozolimskich wydawałem Lisieckiemu polecenia:

– Wracam teraz do Komendy, a ty zajrzyć do pułkownika Zawadzkiego. Jeśli portret pamięciowy jest już gotowy, dopilnujesz dalszych czynności. Wiesz, co masz robić? Niech odbitkę z rysopi-sem roześlą przez telefoto do wszystkich jednostek. Jesteś za to odpowiedzialny. Do ciebie również będą przychodziły meldunki z wynikami poszukiwań. To cześć!

Po powrocie do Komendy otrzymałem telefon w sprawie obserwacji Matuszczaka, gońca z instytucji, w której pracował Szeryng. Obserwacja została rozpoczęta natychmiast po mojej rozmowie ze „starym”.

Porządny człowiek! – pomyślałem. Pogdera, pogdera, ale zawsze pomoże.

Informacje przekazane przez funkcjonariusza „depczącego po piętach” Matuszczakowi, niestety, nie przyniosły nic ciekawego. Goniec wyszedł z pracy o godzinie 12.40. Był w banku na Nowogrodzkiej. Załatwił jakieś sprawy finansowe. Z banku poszedł

pieszko do „Hortexu” na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. Zamówił galaretkę. O 14.20 wrócił do pracy. Obserwator czeka.

Czternasta dwadzieścia. A która jest teraz? Spojrzałem na zegarek. Była piętnasta dziesięć. Za dwadzieścia minut koniec pracy. Wyjdę raz punktualnie, bo już dziś nic nie zwojuję. Trzeba czekać. W tym momencie drzwi otworzyły się na całą szerokość i do pokoju, wkroczył roześmiany Lisiecki.

– Wodzu! Wszystko gotowe! Rysopis i zdjęcie poszło w świat! Mamy trochę wolnego czasu. Może skorzystamy i namyślimy się, co dalej? Co sobie szef obiecuje po naszych dotychczasowych posunięciach?

– Na razie niewiele. Spróbujmy jednak podsumować nasze wiadomości. Po pierwsze: Szeryng miał jakąś cenną księgę. Stare wydanie... Po drugie: księgi w jego mieszkaniu nie znaleźliśmy. Po trzecie: goniec, Wojciech Matuszczak, wiedział o księdze i miał pośredniczyć w jej sprzedaży. Był też w mieszkaniu Szerynga. Po czwarte: Szerynga odwiedzała jakaś kobieta. Co z tego wynika? Najprawdopodobniej, mówię najprawdopodobniej, bo w takich sprawach los lubi płatać figle i zdarza się tak, jak w powieściach kryminalnych, że mordercą okazuje się najmniej podejrzany, a więc najprawdopodobniej Matuszczak, pośrednicząc w sprzedaży, dowiedział się dokładnie, jaka jest wartość książki. Cena była tak zawrotna, że postanowił zabić prawowitego właściciela... Tak na marginesie: trzeba przepytać antykwariuszy, czy ktoś podobny do Matuszczaka nie próbował sprzedać cennej księgi. – Lisiecki siedział milcząc, a ja snułem dalej swoje przypuszczenia. – Matuszczak zabija Szerynga i staje się jedynym właścicielem księgi. Tylko co z tą

kobietą? Osoba niewinna, czy współpracowniczka?

– Coś tu się nie zgadza, szefie! – Lisiecki widział słabe punkty w moim rozumowaniu. – To byłoby zbyt proste. Pozwól, że teraz ja wypunktuję. Więc, po pierwsze: nie każdy goniec ma pod ręką pistolet! Pragnę zwrócić szefowi uwagę, że to Polska, a nie Meksyk. Po drugie: Matuszczak wiedział, że w biurze są znane jego kontakty z Szeryngiem i planowana transakcja. W tej sytuacji nie ryzykowałby morderstwa... Po trzecie: jest już czwarta i koniec urzędowania.

– Masz rację. Starczy na dziś! Ale tak na marginesie twoich wywodów: widzisz inne rozwiązanie?

– Nie, wodzu.

– Ja też nie! Musimy na razie czekać! Tylko to nam zostało.

ROZDZIAŁ VIII

Dzień nie zapowiadał się ciekawie. Sprawozdanie z obserwacji Matuszczaka nie było jeszcze gotowe. O kobiecie z rysopisu żadnych wiadomości.

Siedzieliśmy z Lisieckim posępni i zniechęceni. Rozmowa wyraźnie nie kleiła się. Byłem zmęczony i zdenerwowany. Nie mogłem się skupić. Wczoraj wieczorem miałem silne bóle żołądka. Jest coraz gorzej. Jak tak dalej pójdzie, to nadżerki na dwunastnicy wykończą mnie nerwowo i fizycznie. Jak można pracować, gdy potężny ból wraca co kilka godzin. Do tego ta atmosfera domowa! Coraz trudniej ją znoszę. No i sprawa Szerynga...

Minęły już cztery dni od chwili morderstwa, a my stoimy w miejscu.

Nie ma nic, czego można by się uchwycić. Żadnego dowodu! Bo tak naprawdę, to Lisiecki miał rację! Ten Matuszczak, jako morderca, za bardzo pchał się w ręce.

– Poruczniku Lisiecki! – Mimo woli powiedziałem to ostrym tonem. Może nawet zbyt ostrym. – Dowiedzcie się u dyżurnego, czy są dla nas jakieś meldunki! Jak długo będziemy siedzieli beczynnie?!

Lisiecki poderwał się z krzesła i, nie powiedziawszy ani słowa, wyszedł z pokoju. Rozumiał doskonale przyczynę mego nagłego rozdrażnienia.

Rozpocząłem wędrówkę od ściany do ściany. Może to mi przyniesie ulgę. Dlaczego Lisiecki nie wraca? Co ten guzdrała tak długo robi u dyżurnego? Sekundy zamieniają się w minuty. Będzie jakaś wiadomość, czy nie?

Mina Lisieckiego zwiastowała dobre wieści. Roześmiany od ucha do ucha, potrząsając trzymanym w ręku papierkiem, krzyczał od drzwi:

– Jest, szefie! Jest ciekawa informacja o Matuszczaku!

Matuszczak? Rozczarowałem się nieco. Wolałbym wiadomość o nieznaney kobiecie... Matuszczaka przecież w każdej chwili możemy zdjąć, a o kobiecie nadal nic nie wiemy. Ale ostatecznie... Na bezrybiu i rak ryba...

– Świetnie! – Byłem już zupełnie opanowany. – Zreferuj w skrócie... Później przeczytam tę notatkę.

– Obserwacja Matuszczaka dostarczyła ciekawych informacji – zaczął Lisiecki. – Po wyjściu z biura ten biedny goniec zmienia się nie do poznania. Odwiedza pierwszorzędne lokale, kręci się między

znanymi handlarzami walutą. Prawdopodobnie trudni się pośrednictwem...

– I to wszystko? – wtrąciłem, gdy Lisiecki przerwał na moment, by zaczerpnąć powietrza.

– Wszystko – odpowiedział niepewnie, zaskoczony moim oschłym tonem.

– Też mi rewelacje przynosisz... To, że handluje walutą i robi jakieś nieczyste interesy... Co to ma wspólnego z morderstwem?

Lisiecki miał minę zbitego psa.

– Myślałem... Myślałem, że w naszej sytuacji każda wiadomość jest dobra.

– Tak! Gdy posuwa sprawę choćby o krok do przodu... A ta wiadomość?

– Nie zmienia naszego stosunku do Matuszczaka.

– Widzisz więc sam.

– No to pójdę jeszcze raz. Może będzie coś ciekawszego. – I już był przy drzwiach.

– Poczekaj chwilę. Ja pojadę do listonosza, który dostarczał korespondencję Szeryngowi. Może zapamiętał jakieś adresy... Ty tymczasem zostań na miejscu. Pilnuj wiadomości o Matuszczaku i kobiecie. Po powrocie chciałbym już mieć coś ciekawego.

Listonosz mieszkał w Pyrach. Jechałem z Szychem, który jak zawsze prowadził wóz szybko i pewnie. Milczeliśmy. Pan Kazio nigdy nie zaczynał rozmowy pierwszy, a ja nie miałem nastroju do pogawędki. Zatrzymaliśmy się przed elegancką jednopiętrową willą, za którą znajdował się rząd cieplarni. Teren ogrodzony ładną kratą. Całość dobrze utrzymana. Nacisnąłem przycisk przy furtce. W

odpowiedzi posłyszałem brzęczyk. Pchnąłem furtkę. Jednocześnie otworzyły się wykonane z jasnego drzewa drzwi willi i na progu stanął mężczyzna. Był dobrze zbudowany. Poruszał się żwawo, z młodzieńczą werwą. Wiek: mniej więcej 60 lat.

– Pan Karwowski? – tak brzmiało nazwisko listonosza.

– Tak, to ja...

– Major Korczuk z Komendy Głównej – przedstawiłem się, pokazując jednocześnie legitymację służbową.

Karwowski nie potrafił ukryć zdenerwowania.

– Proszę, pan major pozwoli... Czym mogę służyć? – zapytał, nie czekając, aż wejdę do środka.

Nie spieszyłem się z odpowiedzią. Gospodarz wprowadził mnie do dużego salonu z jedną oszkloną ścianą, wychodzącą na taras.

– Czy mógłbym prosić o wyjaśnienie. Co się stało panie majorze?... – niecierpliwił się. – Może syn znów coś zbroił?

Rozejrzałem się po salonie. Byłem zaskoczony tym luksusowym wnętrzem. Ładne meble, o ile się mogłem zorientować, z Cepelii albo „Ładu”. Obrazy. Efektowne wyroby gliniane. W kącie salonu telewizor kolorowy.

Karwowski zapraszającym gestem wskazał mi fotel. Sam usiadł naprzeciwko i wpatrywał się we mnie prawie błagalnie. Postanowiłem nie denerwować go dłużej.

– Panie Karwowski, ulica Smocza to pana rejon?

Mój rozmówca odetchnął z ulgą. Usiadł wygodniej, ręce oparł na kolanach.

– Tak, mam odcinek Smoczej. Od Anielewicza do Stawek.

– Czy zna pan dobrze lokatorów z bloku pięćdziesiąt sześć?

– Nie wszystkich... Wprawdzie noszę tam listy od kilku lat, ale niedawno wprowadziło się kilku nowych lokatorów. Tych jeszcze nie znam. Zresztą ja na ogół zostawiam listy w skrzynkach.

– A Seweryna Szerynga pan znał?

– Tego, co popełnił samobójstwo? Tak, panie majorze, znałem go. Często otrzymywał listy polecane.

– Skąd były te listy? Pamięta pan?

– Pamiętam, bo zawsze dawał mi znaczki dla wnuka. To były listy z Niemiec Zachodnich. Od jego siostry...

– Czy inne listy też otrzymywał?

– Bardzo rzadko... Czasami kartka z pozdrowieniami.

– Czy widywał pan u niego jakichś gości?

– Nie. Zawsze był sam. To był sympatyczny człowiek. Tylko taki odludek... I tak skromnie miał urządzone mieszkanie.

– Rzeczywiście, w porównaniu z pana willą – nie mogłem się powstrzymać przed tą drobną złośliwością.

Karwowski zmieszał się.

– Przecież to nie grzech, panie majorze – zaczął trochę nerwowo. – Wszystko zarobiłem uczciwą pracą... Mam kawałek gruntu. Córka skończyła szkołę rolniczą. Założyła cieplarnię. Hodujemy warzywa i kwiaty. Uczciwie sprzedajemy, podatek płacimy. Nic z boku, panie szanowny. – Mówił szybko, jakby bał się, że mu przerywę, że nie uda mu się mnie przekonać. – Żadnych nielegalnych interesów. Wszystko z pomocą państwa. Na wszystko są rachunki... Syna, panie, wykształciłem też... Pracuje w handlu zagranicznym. Wyjeżdża służbowo za granicę. A zięć inżynier-elektryk. Ma warsztat naprawy telewizorów. Żyjemy zgodnie, pracujemy uczciwie,

to i zarabiamy.

– To po co pan pracuje jako listonosz? Przecież to praca ciężka, a zarobek marny?

Obruszył się.

– Jak to, panie, nie pracować? Trzeba coś robić... Ludzi brak... A ja już dwadzieścia lat na poczcie. Niedługo na emeryturę idę. Wtedy pomogę tu, w domu. Na poczcie znają mnie jako pracownika solidnego, uczciwego.

– No tak... Ma pan rację... Najważniejsze być uczciwym i cieszyć się zaufaniem przełożonych. Wracając do Szerynga. Pamięta pan może adresy nadawców tych kartek z pozdrowieniami?

– Panie majorze! Co pan sobie o mnie myśli? – Listonosz był oburzony. – Ja nie czytam cudzych kartek. A adresy? Po co mi adresy nadawców?

– No tak! Ma pan rację – przytaknąłem z rezygnacją. – A może zdarzyło się coś w związku z Szeryngiem, co zwróciło pana uwagę?

Karwowski chwilę zastanawiał się.

– Nie, panie majorze! Nic nie zauważyłem.

– Trudno. Dziękuję panu, panie Karwowski.

Podaliśmy sobie ręce. Ukłonił się głęboko, odprowadził mnie do samej furtki i jeszcze raz głęboko się ukłonił. Stał chwilę na ulicy, spoglądając na odjeżdżającą warszawę.

– Patrz pan, panie Kaziu – odezwałem się – wszyscy pracują uczciwie, wszyscy wypełniają swoje obowiązki wobec państwa... Nic im nie można zarzucić... A jednak istnieje coś, co nie pozwala im spokojnie spać, co na widok milicjanta wywołuje skurcz w okolicy serca.

Szych spojrział na mnie zdziwiony, po chwili powiedział służbiście:

– Tak jest, towarzyszu majorze! – Nie wiedziałem, co znaczy ta odpowiedź, ale Szych był tak zajęty prowadzeniem wozu, że nie chciałem mu przeszkadzać.

Wszedłem do swego gabinetu. Lisiecki gdzieś krążył. Na biurku leżały jego notatki i aktówka z nie zjedzonym śniadaniem. Spojrzałem na zegarek. Była dwunasta. Włączyłem grzałkę, by przygotować sobie coś do picia. Nie chciało mi się schodzić do bufetu. Bufet w piwnicy, a ja na drugim piętrze. W moim wieku to się już liczy. Gdy parzyłem kawę, wszedł Lisiecki.

– Jest pan niepoprawny, szefie – zaczął od progu – narzeka się na kawkę, że szkodzi, że zgaga, a jednak się pije.

– Na jedno szkodzi, na drugie pomaga – odparłem filozoficznie.

– Stąd wniosek, że jeszcze za mało ma szef emocji. Dlatego przygotowałem bombową wiadomość.

– Synu mój, po tylu latach pracy w milicji nic nie jest w stanie mnie zadziwić.

– A jeśli powiem, że znalazła się starsza pani? – powoli, przeciągając słowa, zapytał Lisiecki.

Skoczyłem na równe nogi.

– I ty to tak lekko mówisz!?! – krzyknąłem podniecony. – Ty bandyto! Przez ciebie stracę resztki zdrowia! Gdzie masz informację?

Lisiecki podał kartkę papieru dotychczas skrzętnie skrywaną za plecami. Szybko przebiegłem oczami jej treść. Meldunek pochodził od komendanta posterunku w Wesolej.

W odpowiedzi... – i tak dalej, i tak dalej, darowałem sobie wstęp – informuję, że w Wesolej, ul. Naruszewicza 12 m. 2, mieszka Emma Strelka, urodzona 28 czerwca 1922 r, w Mikułowej pow. Ostróda, zameldowana na pobyt stały. Wyżej wymieniona jest rencistką, pracuje dorywczo. Zdjęcie dowodowe oraz rysopis odpowiadają rysopisowi Emmy Strelki.

– No to zrobiliśmy krok do przodu! – stwierdził Lisiecki, widząc, że odkładam meldunek na biurko.

– Krok albo kroczek... To okaże się później. Weźmiemy panią Emmę pod lupę.

– A czego dowiedziałeś się u listonosza? – spytał Lisiecki.

– Właściwie niczego. Szeryng otrzymał listy od siostry z NRF. Czasami jakieś pozdrowienia od innych osób. Ale o tym wiedzieliśmy już dawno.

– Może spróbowałibyśmy zrobić małe podsumowanie – zaproponował Lisiecki.

– No cóż, spróbujmy – zgodziłem się bez entuzjazmu. – Wiemy, że Szerynga odwiedzał Matuszczak i starsza kobieta... Wiemy też, że z jego mieszkania zginęła cenna książka. I to wszystko.

– Ciągłe zapominamy o jednej sprawie – porucznik starał się znaleźć inne motywy działania zabójcy – o tym, że Szeryng próbował się z nami skontaktować. Miał nam coś ważnego do przekazania. Ale co? Na pewno nie to, że chcą mu ukraść książkę. Kogoś się bał. Przypuszczam, że nie Matuszczaka. A już na pewno nie z powodu książki. Przecież nie musiał mu o niej mówić. To prawda, że goniec mógł zorientować się, jaka jest wartość tej publikacji dopiero po skontaktowaniu się z antykwariuszem. Ale nawet wtedy nie powinien

się zdradzić z zamiarem dokonania morderstwa. Jeśli Szeryng zorientował się, że Matuszczak coś knuje, mógł zażądać w obecności świadków zwrotu: książki. Zrezygnować z pośrednictwa Matuszczaka.

Słuchałem wywodu Lisieckiego i wiedziałem, że chłopak ma rację. Jego rozumowanie było zupełnie logiczne. Ale co z tego. Obalał jedynie moją koncepcję, nie widział zaś innego motywu działania mordercy. Z zadumy wyrwał mnie przeraźliwy dźwięk dzwonka aparatu telefonicznego.

- Major Korczuk?
- Tak, słucham?
- Tu obserwacja... Mamy dla was nowy meldunek.
- Dziękuję, zaraz odbiorę. Odłożyłem mikrotelefon.
- Idź, Rysiu, do obserwacji. Może w końcu będzie coś ciekawego.

Nie minęło pięć minut, gdy Lisiecki był z powrotem.

– Szefie! Ruszamy z miejsca! – oznajmił radośnie, machając trzymaną w rękę kartką.

Obserwator donosił, że Matuszczak wyszedł z biura, kręcił się po mieście, załatwiał przeróżne sprawy... Ot, zwykłe informacje, jakich mieliśmy już kilka. Serce moje zadrgało w nerwowym skurczu, kiedy przeczytałem:

O godzinie 12.20 Matuszczak wszedł do kawiarni „Roxana” na rogu Alei Jerozolimskich i Kruczej, gdzie spotkał się z kobietą lat około pięćdziesięciu. Rysopis kobiety zgadza się z rysopisem, przekazanym w związku ze sprawą „Samotnik” (taki kryptonim nadaliśmy sprawie Szerynga). Matuszczak wraz z kobietą opuścili kawiarnię „Roxana” o godzinie 13.00. Przed kawiarnią pożegnali się.

Nawiązałem łączność radiową z funkcjonariuszem nr 2716 z KDMO Śródmieście, patrolującym okolice CDD, polecając mu wylegitymować kobietę. Matuszczak wrócił do biura o godzinie 13.15. Skontaktowałem się ponownie z funkcjonariuszem nr 2716, który wylegitymował interesującą nas osobę pod pozorem nieprawidłowego przekroczenia jezdnii. Dane personalne kobiety: Emma Strelka, zamieszkała w Wesolej, ul. Naruszewicza 12 m. 2.

Rzuciłem informację na biurko.

– Jak nie było wiadomości, to nie było! A teraz udusimy się pod zalewem informacji o tej Strelce!

– Lepsze to, niż nic! – filozoficznie stwierdził Lisiecki.

– Nie musisz mnie o tym przekonywać! Tak tylko sobie ulżyłem! A teraz, stary, do roboty! Jutro rano jedziesz do Wesolej. Zapisz sobie adres. Postaraj się zdobyć jak najwięcej szczegółów o pani Emmie. – Spojrzałem na zegarek. – Dziś już nic nie zwojujemy. Możesz iść na randkę. Aha! Nie zapomnij o egzemplarzu portretu pamiątkowego! Żebyś nie obserwował kogoś innego! – Lisiecki nie odchodził. – Na co jeszcze czekasz?

– Szefie, wspomniałeś o mojej dziewczynie – zaczął niepewnie.

– Wiem co nieco o twoich kłopotach rodzinnych. Dlatego powiedz szczerze, jak przyjaciel przyjacielowi, żenić się, czy pozostać w kawalerskim stanie.

Roześmiałem się.

– Jeśli chcesz znać moje stanowisko, to ci radzę, nie żeń się! Przy twojej pracy będzie to męczarnia dla obydwu stron.

– Ale ona jest inna – oponował nieśmiało Lisiecki.

Porwałem go w ramiona. Przycisnąłem do piersi, klepiąc po plecach:

– Synu! Jeśli tak twierdzisz, tożeń się! Koniecznie siężeń! Na ciebie już nie ma rady! Zresztą każdy z nas musi przez to przejść.

Lisiecki wyrwał się z moich objęć:

– Masz rację! Żenię się! Już niedługo dostaniesz zaproszenie na ślub! – krzyknął radośnie i już go nie było.

ROZDZIAŁ IX

Lisiecki był w Wesołej już przed godziną ósmą. Podróż pociągiem elektrycznym z dworca Warszawa Śródmieście trwała niecałe dwadzieścia minut. W przedziale jechał sam. O tej godzinie fala ludzi płynęła w przeciwnym kierunku: do Warszawy. Ze stolicy wracali nieliczni, przeważnie robotnicy z nocnej zmiany.

W Wesołej z pociągu wysiadły tylko trzy osoby. To dobrze. Im mniej postronnych obserwatorów, tym lepiej. Podszedł do budki dróżnika na przejeździe.

– Którędy mam iść na Naruszewicza?

Stary dróżnik, z długim sumiastym wąsem, dokończył odkrawanie plasterka kiełbasy, położył go na kromce chleba i dopiero wtedy odpowiedział:

– Prosto główną ulicą. Minie pan krzyż, potem lasek i pierwsza ulica, to Naruszewicza... A który numer?

– Osiemnasty. – Lisiecki był przygotowany na takie pytanie.

- A, to trzeba skrócić w prawo.
- Dziękuję, i do widzenia!

Dróżnik nawet nie odpowiedział, koncentrując całą swą uwagę na krojeniu następnego plasterka kielbasy. Porucznik szedł ładną, szeroką ulicą, wysadzoną jarzębiną. Po obu stronach ciągnęły się niewielkie domki, otoczone świetnie utrzymanymi ogródkami. Dużo zieleni i kwiatów. Te „wille”, które dawniej służyły za letniska, dziś stały się mieszkaniem setek rodzin, dojeżdżających codziennie do pracy w Warszawie. Było tu cicho i spokojnie. Nieliczni przechodnie spieszyli w jednym kierunku, do stacji pociągu elektrycznego. Lisiecki minął drewniany krzyż, stojący na przecięciu dwu ulic, i wyszedł na polną drogę, prowadzącą przez niski iglasto-liściasty zagajnik. Przeszedł mniej więcej pół kilometra i zagajnik skończył się. Przed Lisieckim znajdowało się kolejne skrzyżowanie. Zgodnie z informacją dróżnika, poprzeczna ulica powinna być tą, której szukał. Rozejrzał się. Po przeciwnej stronie, przybita do grubego pnia sosny, poobijana tabliczka głosiła, że jest to rzeczywiście ulica Naruszewicza.

Skręcił w prawo, obserwując nieznacznie mijane wille. 28, 26, 24... Przez pewien odcinek porucznik musiał brnąć po piasku. Przy willi oznaczonej numerem 16 zaczynała się droga z szarego leszu. Zwolnił kroku. Spoza domku oznaczonego numerem 14 widać było posesję, którą miał obserwować. Szedł coraz wolniej, starając się dostrzec jak najwięcej szczegółów. Ogrodzenie z drucianej siatki, spowite gęstym, najeżonym cierniami, żywopłotem. Każda próba przedostania się tą drogą na teren posesji skończyłaby się bez wątpienia podarciem ubrania i poważnymi zadrapaniami. Brama z

żelaznych prętów, tworzących piękne wzory, świadczyła o dużym artyzmie wykonawcy. Obok bramy – furtka, na niej skrzynka na listy, a obok elektryczny zamek. Przez wolną przestrzeń w żywopłocie, na długości furtki i bramy, widać było ogródek warzywny i klomby. Przed domem rosło kilka jałowców, zza niego wyglądały gałęzie sosen. Z boku domu przyklejona do ściany oszklona weranda. Przed wyjściem – ganek. Dach spadzisty. Dalej, w głębi jakaś szopa czy komórka. Lisiecki minął bramę, przeszedł jeszcze kilkanaście kroków i natknął się na wąską dróżkę, przecinającą zagajnik. Skręcił w nią. Znalazł się wśród zarośli. Rozgarniał nogą liście, schylał się, podnosił z ziemi sosnowe szyszki. Miał nadzieję, że ewentualny t przechodzień weźmie go za namiętnego zbieracza grzybów.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Uwaga obserwującego stopniowo słabła. W pewnej chwili wzrok jego zatrzymał się na maleńkiej łośdyżce, która nachylona ku ziemi dźwigała kilka liliowych dzwoneczków, oświetlonych promieniami przedzierającego się przez gałęzie sosen słonecznego światła. Lisiecki zapatrzył się w wątłą roślinkę. O naturo, jakie cuda tworzysz, nie troszcząc się o to, czy ktoś je zauważy i oceni. Czy jest na świecie taki mistrz, który umiałby odtworzyć formę, barwę i tę subtelną miękkość kwiatka? – Lisiecki zdawał się zapominać, w jakim celu przyszedł do tego zagajnika. Nachylił się, wyciągnął rękę. Chciał zerwać kwiatek. Nagle cofnął się oburzony na samego siebie. A widzisz, esteto, chciałeś zniszczyć roślinkę. Po co? Niech żyje. Może znajdzie się jeszcze ktoś, kto ją zauważy, komu sprawi radość, wywoła wzruszenie.

Wrócił do rzeczywistości. Zatrwożył się, że ta krótka chwila

nieuwagi mogła zniweczyć jego dotychczasowe działanie. Przeniósł wzrok na domek, widoczny dość wyraźnie poprzez zarośla zagajnika. Wokół panowała cisza i spokój. Żadnego ruchu. Żadnej oznaki życia. Jedyne świergot, ptactwa, buszującego w gałęziach pustego ogrodu, świadczył, że to nie pejzaż namalowany ręką artysty, lecz żywa natura. Po kilku minutach ożywczy zapach lasu i panująca dokoła cisza rozmarzyły Lisieckiego. Niezła trafiła mi się gratka – pomyślał z satysfakcją. Odpocznę sobie, przewietrzę płuca, uspokoję nerwy. To jest służba! Życie nie umierać!

Ale minuty płynęły i nic się nie działo. Od czasu do czasu ulicą przechodził jakiś człowiek, mijał wąską ścieżynkę i ginął z oczu Lisieckiego. Willa wyglądała na wymarłą. Porucznik zmęczył się ciągłym dreptaniem w miejscu. Usiadł na kępcie mchu, oparł się o drzewo. Coraz częściej spoglądał na zegarek. Jak ten czas się wlecze! Wydawało mu się, że minęła godzina, a to zaledwie dwadzieścia pięć minut. Coraz częściej zmieniał pozycję. Coś go bez przerwy kłuło, gryzło, uwierało.

Jest ktoś w tym domku czy nie? – zastanawiał się zniecierpliwiony przedłużającą się beczynnością. Jak długo można tak siedzieć? Żeby się wreszcie coś ruszyło! A może zostałem zauważony? Daj spokój, chłopie, nie wpadaj w panikę. Cholera, a tak się świetnie zapowiadał ten dzień!

Po pewnym czasie przyszło rozgoryczenie.

Po co ja się pchałem do tej milicji? Nie lepiej było wyjechać w Bieszczady, kupić działkę i sadzić warzywa? Albo jak ci, z tych wili... Rano do pracy, po południu ogródek, kwiatki, krzaczki, koperek. A wieczorem. Siedzą sobie przed telewizorem i oglądają „Kobrę”,

w której dzielni, wszytkowiedzący milicjanci bez trudu łapią zbrodniarza. Ze też szef musiał akurat mnie tu przysłać... Jak by nie było innych orłów... A przecież ja mam reumatyzm i lekarz wyraźnie zalecił mi unikać wilgoci.

Lisiecki spojrzął na zegarek. Minęły już dwie godziny. Wyjął z kieszeni kanapkę. Ugryzł niewielki kęs. Skrzywił się i odłożył ją na bok. Żeby chociaż łyk herbaty. Mogłem wziąć termos – pomyślał. Ale ze mnie obserwator – zżymał się w duchu. Może jeszcze kocyk, gazetka, kąpielówki. Na służbie jesteś, ofermo, a nie na majówce.

Znów spojrzął na zegarek. Wpół do dwunastej... Nie wytrzymam dłużej, mam tego dosyć. Wstał. Bolały go wszystkie kości. Zaczął krążyć po zagajniku, nie spuszczać z oczu domu, który wydał mu się teraz wprost obrzydliwy.

Okolo czternastej, gdy Lisiecki był wykończony fizycznie i nerwowo, drzwi domku otworzyły się i na jego progu stanęła starsza kobieta. W rękę trzymała pęk kluczy, które kolejno wkładała do zamków – Lisieckiemu wydawało się, że było ich co najmniej pięć – i przekręcała. Wreszcie wyszła przed furtkę. Teraz widział ją wyraźnie. Tak, to była dama z portretu pamięciowego. Rażnym krokiem ruszyła w kierunku stacji. Lisiecki czekał jeszcze chwilę i poszedł za nią. Wkrótce znaleźli się na ulicy. Porucznik zaklął w duchu. Dokoła nie było żywej duszy! Oprócz niego i starszej kobiety! Paskudna sytuacja. Co robić, by zostać nie zauważonym? W Warszawie sprawa byłaby prosta! W tłumie człowiek jest niewidoczny! Machnął z rezygnacją ręką i szedł w pewnej odległości, starając się sprawiać

wrażenie człowieka zamyślonego, nie spieszącego się do pociągu.

Starsza pani weszła na peron i usiadła na ławce. Lisiecki minął ją obojętnie i zatrzymał się w drugim końcu peronu. Na pociąg nie czekali długo. Może sześć, może osiem minut. Lisiecki wsiadł do wagonu w chwilę po kobiecie. Zatrzymał się na pomoście i na każdej stacji obserwował wysiadających. Tak dojechali do Śródmieścia. Porucznik odetchnął z ulgą. Tu był już bezpieczny. Otoczył go tłum ludzi, stał się jednym z bezimiennej masy podróżnych. Wtopił się w falę przechodniów, nie spuszczając z oczu kroczącej przed nim kobiety.

A ona szła wolno, spokojnie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest obserwowana.

Lisiecki przypomniał sobie ćwiczenia z obserwacji, przeprowadzone w szkole, a następnie egzamin. Ten spacer po ulicach Warszawy był niewinną igraszką w porównaniu z egzaminem. Miał wtedy obserwować mężczyznę, doświadczonego wykładowcę, który robił wszystko, by mu uciec. Poza tym on sam był obserwowany przez nieznane osoby, które analizowały dokładnie jego postępowanie. Ważne było wszystko: czy się umiał maskować, czy się czymś nie zdradził, czy nie zwrócił na siebie uwagi przechodniów. Dali mu wtedy w kość, oj, dali! Ale trzeba przyznać, że zrobili z niego dobrego obserwatora. Kobieta skręciła w Poznańską, minęła Nowogrodzką i Wspólną. Za Wilczą skręciła do bramy starej, pięciopiętrowej kamienicy. Lisiecki, idąc po przeciwnej stronie ulicy, przyspieszył kroku. Chciał zobaczyć, na którą klatkę schodową wejdzie obserwowana. Niestety, nie zdążył. Kiedy znalazł się tak blisko bramy,

że mógł spojrzeniem ogarnąć jej mroczne wnętrze, kobiety już tam nie było. Trudno, musiał trochę odczekać. Nie mógł ryzykować, nie mógł narażać się na dekonspirację. Poszedł dalej do Koszykowej, skręcił na MDM. Wszedł do baru mlecznego, gdzie zamówił leniwe pierożki i roztrzepaniec. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest głodny. Zjadł z apetytem i szybko opuścił bar. Skierował się do domu na Poznańskiej.

Dozorcę – mężczyznę w średnim wieku, który na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie bystrego i spostrzegawczego – odnalazł bez kłopotu. Pokazał mu znaczek milicyjny i legitymację, po czym zadał kilka ogólnikowych pytań: jak długo pracuje w tym domu, skąd pochodzi, czy zna wszystkich lokatorów? Dozorca odpowiadał krótko i dokładnie. Porucznik wyjął reprodukcję portretu pamięciowego Emmy Strelki i pokazał dozorczy, który oglądał ją z dużym zainteresowaniem. Lisiecki nie ponaglał, czekał cierpliwie, chociaż denerwowało go przedłużające się milczenie. W końcu dozorca powiedział z wahaniem:

– Wie pan, to nie jest zdjęcie... Nie mogę powiedzieć nic pewnego. Podobną do tego obrazka kobietę to ja widzę tu dość często. Ale czy to jest właśnie ta... Tego nie wiem.

– Dobrze, niech pan mówi śmiało. My potrafimy ustalić, czy to jest interesująca nas osoba.

– Nie chciałbym wprowadzić pana w błąd. Widzę, że pan się spieszy. To będzie chyba ta pomoc domowa, co przychodzi sprzątać dwa, trzy razy w tygodniu do inżyniera Kuliga spod dwudziestego siódmego.

– Jak się ona nazywa?

– Skąd mogę wiedzieć. Nie pytałem jej o nazwisko. Przyjdzie, sprzątnie i pójdzie...

– Ale o inżynierze Kuligu wie pan trochę więcej. Przecież to stały lokator.

– Jaki on tam stały lokator? Nie mieszka tu już od trzech lat. Wpadnie najwyżej raz w miesiącu.

– Dlaczego?

– Trzy lata temu ożenił się i mieszka teraz u żony. Ale stąd się nie wymeldował.

– Adres jego żony pan zna?

– Tak, mam zapisany. – Dozorca podszedł do komódki i zaczął szukać w leżącym na wierzchu notatniku. – Prosił, żeby w razie jakiejś pilnej potrzeby zaraz go zawiadomić. O, jest, Kulig, Grochowska trzysta pięćdziesiąt dwa, mieszkania jeden.

– Dziękuję panu za informacje. – Lisiecki zapisał adres i szykował się do wyjścia. – Mam do pana prośbę. Gdyby zauważył pan coś podejrzanego w mieszkaniu Kuliga, niech pan nas natychmiast zawiadomi. Tu jest moje nazwisko i telefon. – Lisiecki podał swoją wizytówkę. – I nie muszę panu przypominać, że o naszej rozmowie nie powinien nikt wiedzieć.

Lisiecki wyszedł na ulicę i spojrzał na zegarek. Była godzina szesnasta.

Cóż, szefie! Nie wiem, jakie jest zdanie szefa na temat pracy. Ja jednak twierdzę, że jest to najpiękniejsza rzecz na świecie, dlatego też zachowam jej trochę na jutro... Szef pozwoli, że się pożegnám – powiedział cicho do siebie i pogwizdując, poszedł w kierunku domu swojej sympatii.

ROZDZIAŁ X

– Co zrobimy z tym Kuligiem? – spytał Lisiecki po zakończeniu dokładnej relacji z przebiegu wyprawy do Wesolej.

– Żebym ja wiedział – nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. – Poczekajmy trochę. O dziewiątej mamy być u starego. Chce wiedzieć, jak wygląda sprawa Szerynga. Niczego przyjemnego nie możemy się spodziewać, to fakt. Ale pójdziemy, przedstawimy sprawę. Może nam coś podpowie, doradzi.

Punktualnie o dziewiątej zameldowaliśmy się w sekretariacie dyrektora. Pułkownik Krawczyk nie kazał nam na siebie czekać.

– Siadajcie, towarzysze! – Wskazał nam miejsca przy kwadratowym stoliku, dostawionym do biurka. – Myślę, że przynosicie mi jakieś konkretne informacje, które pozwolą zamknąć śledztwo.

Ten wstęp nie należał do przyjemnych.

– Obawiam się, towarzyszu pułkowniku, że śledztwo dopiero teraz się zaczyna – zacząłem dość niepewnie.

– Ależ, towarzysze! – Pułkownik nie pozwolił mi skończyć. – Czy wy myślicie, że ja mam nieograniczone możliwości kadrowe! Przecież inne sprawy czekają! Jak długo to jeszcze będzie trwało?

– Dopiero teraz trafiliśmy na pewien ślad...

– Towarzyszu majorze! Dotychczas uważałem was za doświadczonych oficera, sądziłem, że nie będziecie marnowali czasu. Co robiliście do tej pory? Co to znaczy, pewien ślad?

– Nie było żadnych świadków, żadnych dowodów – próbowałem się bronić.

– Wiedziałem od początku, że to nie będzie prosta sprawa – pułkownik mówił już innym tonem – dlatego właśnie wam ją powierzyłem. Ale proszę, referujcie, na jakie przeszkody natrafiliście?

Przedstawiłem zwięźle, punkt po punkcie, dotychczasowy przebieg śledztwa. Pułkownik słuchał w skupieniu, a gdy skończyłem, zasępił się wyraźnie.

– Odnoszę wrażenie – zaczął po chwili – że sprawę książki należy na razie pominąć. Zbyt błaha to historia, by mogła doprowadzić do zabójstwa. Z waszego sprawozdania nasuwa się wniosek, że Szerynga zamordowała jakaś szajka. Ale dlaczego? Jaki był powód? Na to pytanie, niestety, w tej chwili nie potrafimy odpowiedzieć. Może jakieś nadużycia na terenie biura: Szeryng przecież chciał nam coś ważnego przekazać. Za taką koncepcją przemawiają kontakty z gońcem. A Strelka? Zna gońca i bywała u Szerynga. Opis miejsca morderstwa i położenia zwłok denata świadczy, że Szerynga zabiła osoba, którą on znał. Wpuścił ją przecież do mieszkania. Nie był też tą wizytą zaskoczony... Może to goniec, a może Strelka... Myślę, że ślad jest dobry. Teraz trzeba uważać, żeby ich nie spłoszyć. Jestem prawie pewien, że gdzieś w ukryciu znajduje się trzecia osoba, która zarówno Matuszczakowi, jak i Strelce wydaje rozkazy. I do niej musimy dotrzeć.

– A co z inżynierem Kuligiem? – zapytałem.

– Kulig – zastanowił się pułkownik Krawczyk. – Kulig może z tą sprawą nie mieć nic wspólnego. Ale trzeba to sprawdzić.

– Zastanawiam się tylko, towarzyszu pułkowniku, dlaczego Kulig wynajmuje do sprzątania osobę dojeżdżającą, a nie na przykład

dozorczynię. Poza tym, opierając się na opisie porucznika Lisieckiego, Strelka wcale nie wygląda na pomoc domową.

– Wygląd o niczym nie świadczy. – Pułkownik spojrzął na zegarek. – Wszystko się wyjaśni, kiedy zbierzecie dokładne informacje o Strelce i o Kuligu.

Z Kuligiem można przeprowadzić rozmowę w imieniu rady narodowej. Niech wyjaśni, dlaczego trzyma to drugie mieszkanie i kto przebywa w jego domu?

Zresztą tego nie muszę wam tłumaczyć, sami wiecie, o co macie pytać.

Drzwi gabinetu otworzyły się i na progu stanęła sekretarka pułkownika, panna Krysia. Podeszła szybko do biurka i postawiła na nim tacę.

– Już czas, towarzyszu pułkowniku... – powiedziała stanowczo. Pułkownik wziął z tacy tabletkę, połknął ją, popił brunatnym płynem i krzywiąc się zaczął narzekać:

– Już gorszego świństwa nie mogła mi pani podać!

– Te sprawy proszę wyjaśnić z doktorem Zabielskim. – Panna Krysia uśmiechnęła się czarująco i wyszła z pokoju.

Znaliśmy dobrze ten ceremoniał. Pułkownik cierpiał na jakąś przewlekłą chorobę nerek i wątroby, przy których to skuteczność leków zależała przede wszystkim od ich punktualnego zażywania. I tu panna Krysia była nieoceniona. Żeby nie wiem jak ważna była konferencja, gdy nadeszła pora spożywania leków, wkraczała na arenę i czekała dotąd, dopóki pułkownik nie łyknął codziennej porcji.

– O czym to mówiliśmy – pułkownik Krawczyk po tej krótkiej przerwie wracał do tematu.

- O sprawdzeniu Strelki i Kuliga – pomogłem.
- O, właśnie. Więc tak, jak powiedziałem. Chyba że macie inne propozycje?

Ponieważ innych propozycji nie mieliśmy, pułkownik podniósł się z fotela i uściśnął nam dłonie. Byliśmy już przy drzwiach, kiedy dobiegł nas jego głos:

- A tak naprawdę, to moglibyście się pospieszyć.

Obawialiśmy się, że Lisiecki mógł zostać zauważony podczas obserwowania Strelki, wobec tego do Kuliga wybrałem się sam.

Dom przy ul. Grochowskiej, w którym mieszkał inżynier, znajdował się w sąsiedztwie fabryki czekolady „22 Lipca”, przez mieszkańców Pragi nadal zwanej „Wedlem”. Wszedłem na klatkę schodową, pamiętającą jeszcze czasy dawnej świetności. Klatka, wyłożona do połowy wysokości seledynową glazurą, schody z kamienia imitującego marmur. Mieszkanie Kuliga znajdowało się na pierwszym piętrze. Nacisnąłem przycisk dzwonka. Po chwili drzwi uchyliły się. W pierwszym momencie zauważyłem jedynie ogromną szopę jasnych włosów.

- Czy zastałem pana Kuliga?

Drzwi otworzyły się szerzej.

– Proszę – blond zjawisko zaprosiło mnie do wnętrza. Była szczupła i wysoka. Miła buzia. Spojrzałem na nogi i pomyślałem, że pan inżynier Kulig musi być dobrym architektem, bo zna się na proporcjach i kształtach, a także na estetyce. – Lucek, do ciebie!

Z głębi mieszkania wyszedł mężczyzna koło pięćdziesiątki. Też wysoki, o lekkich skłonnościach do tycia. Smągła opalona twarz, skronie przyprószone siwizną. Na spodniach ani jednego załamania.

Beżowa, sportowa koszula. Tworzyli ładną parę. Za panem domu wychyliło główkę dziecko. Dziewczynka pięcio-, może sześćioletnia.

– Słucham pana. – Zbliżył się z nieufnym wyrazem twarzy. Oczekałem, aż pani domu wraz z dzieckiem znikną w pokoju, po czym wyciągnąłem z dowodu kartkę papieru z niewyraźną pieczętą administracji i ze słowami: „Ja z administracji budynków mieszkalnych... W sprawie pańskiego mieszkania przy ulicy Poznańskiej” – przesunąłem kartkę przed oczyma inżyniera, po czym szybko schowałem ją do dowodu.

– Ach, tak. – Inżynier był nieco zaniepokojony. – Byłem pewien, że nie dacie mi spokoju.

W tej chwili błogosławiłem w duchu rodaków za ich niechęć do wszelkich papierków i zaświadczeń, chociaż nieraz ich za to przeklinałem. Ileż to meldunków, donoszących o kradzieżach i wyłudzeniach przez osobników z „lewymi” dokumentami, musiałem przestudiować?

Weszliśmy do nowocześnie umeblowanego pokoju. O ile się znam na meblach, był to „Wyszków”, ciemny orzech. Nie chcąc tracić czasu, przystąpiłem od razu do rzeczy:

– Jak się zdołałem zorientować, od kilku lat zamieszkuje pan u żony. Pana kawalerka przy Poznańskiej stoi pusta. Nie muszę panu tłumaczyć, że to nie jest właściwe postępowanie.

Inżynier Kulig wybuchnął:

– Czy to jest właściwe, czy nie, to moja prywatna sprawa. Cóż z tego, że się ożeniłem z osobą mającą mieszkanie? O tym, gdzie chcę mieszkać, pozwolą panowie, że sam będę decydował.

Czy moje długoletnie doświadczenie, czy też intuicja podszeptała mi zdanie:

– Tak, to by było w porządku, gdyby pan tam od czasu do czasu przebywał. Ale pan to mieszkanie wynajął.

Kulig zachnął się i już spokojnie odpowiedział:

– Proszę pana, wie pan, jak teraz jest. Bez przerwy rozwody... Ja już jeden mam za sobą. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie wspólne mieszkanie po rozwodzie. To bardzo kłopotliwa i nieprzyjemna sytuacja... Nauczony smutnym doświadczeniem, zatrzymałem moje mieszkanie tak na wszelki wypadek. Miało stać puste? Jaka to pokusa dla złodzieja... Poza tym trzeba czasami posprzątać, kwiaty podlać. Więc wynająłem. Byłem pewnego razu w Olsztynie. Tam poznałem starszego pana, urzędnika bankowego, który wybierał się na emeryturę. Choć wszyscy emeryci uciekają raczej z wielkich miast, ten był jakiś nietypowy. Chciał na stare lata pomieszkać w stolicy. Może liczył, że pozna „Warsaw by night”? – roześmiał się Kulig.

Więc jednak trafiłem! – pomyślałem zadowolony z przypadkowego sukcesu. Trzeba brnąć dalej.

– Z naszych wiadomości wynika, że tam mieszka jakaś kobieta.

– O tym nic nie wiem. Załatwiałem sprawy z mężczyzną. Może na starość wstąpił w niego młody duch? Ale to nie moja sprawa. Ważne, że w mieszkaniu jest porządek. Poza tym płaci regularnie.

– Osobiście?

– Nie! Pieniądze przesyła przekazem.

Pytać dalej? Ale o co? Wszystko, co mogło interesować urzędnika z ADM, już wiedziałem. Trzeba skończyć tę rozmowę.

Wstałem. Kulig podniósł się również.

– Rozumiem dobrze pańskie położenie – rozpocząłem ugodowo – jednak sam pan rozumie, że w okresie głodu mieszkaniowego takie postępowanie nie zasługuje na pochwałę. Nie możemy pana zmusić do zwolnienia lokalu. Jednak prosimy o ponowne przemyślenie sprawy i w możliwie najkrótszym czasie jej uregulowanie. – Z tymi słowami podałem rękę gospodarzowi, który bąknął coś pod nosem, i opuściłem drugi dom inżyniera Kuliga.

Jadąc tramwajem w kierunku centrum, zastanawiałem się nad uzyskaną wiadomością. Muszę się przyznać, że nie byłem nią zachwycony. Sprawa nie posunęła się do przodu nawet o krok, a my musieliśmy zainteresować się jeszcze jedną osobą: emerytowanym bankowcem z Olsztyna. Jeśli był on rzeczywiście lokatorem na Poznańskiej, dozorca powinien coś o nim wiedzieć. Tylko czy będzie to ślad właściwy, czy, jak w przypadku inżyniera Kuliga, tylko boczny tor, nie mający ze sprawą żadnego związku? To, że emeryt zatrudnia podejrzaną jako pomoc domową, nie znaczy, że sam jest podejrzanym. Jak rozproszyć tę wątpliwość? Lisiecki musi znów udać się na Poznańską i zbadać sytuację.

Tak więc porucznik znalazł się ponownie na Poznańskiej. Teraz jednak nie wszedł do dozorca, tylko stanął w bramie i dyskretnie obejrzał topografię budynku. Następnie skierował się na klatkę schodową, z której widział okna mieszkania Kuliga. Stał na półpiętrze i wyteżał wzrok, licząc na to, że uda mu się dostrzec coś interesującego. Gdy słyszał kroki na schodach, udawał, że schodzi lub poprawiał sznurowadło. Tymczasem w mieszkaniu Kuliga nic się nie działo.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Lisiecki tracił cierpliwość. Zastanawiał się, czy nie marnuje czasu nadaremnie, kiedy w oknie obserwowanego mieszkania coś mignęło. Zdawało mu się, że była to sylwetka mężczyzny. Łysego mężczyzny. Porucznik zbiegł szybko po schodach i zajął miejsce przy wyjściu z klatki schodowej. Na widok wychodzącego człowieka ruszył w kierunku bramy, wyjmując z kieszeni papierosa i zapalniczkę. W chwili kiedy mężczyzna go mijał, zapalił papierosa i wolnym krokiem poszedł dalej. Wkrótce zatrzymał się i wrócił na swój poprzedni posterunek. Znów ktoś wychodzi. Lisiecki rusza do przodu, lecz w ostatniej chwili zatrzymuje się. To kobieta, a on czeka na mężczyznę. Czas znów dłuży się niemiłosiernie. Nogi stają się coraz cięższe. Ale uwaga! Znów ruch po przeciwnej stronie! Lisiecki powtarza manewr z zapalaniem papierosa. Powtarzał go jeszcze dwa razy. Wreszcie zapukał do mieszkania dozorczy.

– A, to pan! – dozorca poznał go od razu. – Tak szybko? Jeszcze nie zdążyłem niczego się dowiedzieć o tej sprzątacze Kuliga.

– Nie szkodzi, dowie się pan później – pocieszył go Lisiecki. – Teraz mam do pana inną prośbę. Proszę pójść do mieszkania inżyniera i przekonać się, czy ktoś jest w środku. Poczekał tu na pana.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy dozorca był z powrotem.

– Pukałem, dzwoniłem, ale nikt nie otwierał. Chwilę nasłuchiwałem. Nic, cisza. – W jego głosie brzmiała nuta zawodu.

Lisiecki podziękował i pojechał do komendy.

– Szefie, ja rozumiem, że służba... Rozumiem, że to mój święty obowiązek. Ale na takie imprezy niech mnie szef nie posyła.

Przecież ja jestem niepalący, a dziś musiałem wypalić prawie całego papierosa. Oto rezultat. – Z tymi słowami położył na moim biurku zapalniczkę.

– Po co mi ją dajesz? Już się napracowałeś? Pędź zaraz do laboratorium, niech wywołają i zrobią odbitki. Dużo tego?

– Cztery sztuki.

– Niech zrobią po kilka odbitek. I to szybko! – krzyknąłem za Lisieckim, który był już jedną nogą na korytarzu. Zapalniczki z wmontowanymi aparacikami fotograficznymi oddawały nam już nieraz nieocenione usługi. Mimo milimetrowego formatu kliszy dawały bardzo ostry obraz nawet w powiększeniu 6 na 9.

Lisiecki wrócił, niosąc ze sobą odebrany po drodze meldunek obserwatora opiekującego się Matuszczakiem. Znalazłem w nim dwie ciekawe wiadomości. Po pierwsze Matuszczak spotkał się kilkakrotnie ze Strelką w kawiarni „Cichy Kącik”, na Kole, po drugie wszedł do interesującego nas domu przy ul. Poznańskiej. Pokazałem ten meldunek Lisieckiemu.

– Co o tym sądzisz?

– Przypuszczam, że na Poznańskiej jest punkt kontaktowy szajki. Jeśli chodzi o te spotkania, to, niestety, nic genialnego nie chce mi przyjść do głowy.

– Ja też na razie nie mam żadnego pomysłu. Sądzę jednak, że trzeba popatrzeć na te kawiarniane spotkania. Wywiadowca wie tylko, że ma obserwować Matuszczaka. Ale nie zna szczegółów. Ja, mając już jakie takie rozeznanie, spojrzę na to innym okiem. Może

zauważę coś, co umyka z pola widzenia wywiadowcy.

„Cichy Kącik” była to niewielka, przytulna kawiarenka, prowadzona przez ajenta. Jedna salka z szesnastoma stolikami, mały barek, wieszaki na płaszcze.

Zająłem stolik w rogu sali. Był to zupełnie dobry punkt obserwacyjny. Na razie kawiarenka świeciła pustką. Oprócz mnie znajdowały się w niej tylko trzy panie, siedzące przy jednym stoliku. Zamówiłem kawę ze śmietanką, wuzetkę i coca-colę. Przez długi czas nic się nie działo. Siedziałem nad ciastkiem, starając się jeść jak najwolniej. Nagle otworzyły się z trzaskiem drzwi do kawiarni i stanęła w nich elegancka kobieta.

– Dzień dobry! Witam panie! – pozdrowiła już od progu siedzące niewiasty. – Nareszcie koniec moich zmartwień. Józek jutro wraca do kraju po praktyce. Dostałam dziś list. – Przywitała się z przyjaciółkami, które dość głośno demonstrowały swą radość. Gdy ceremonia powitania zakończyła się, od razu zapanowała atmosfera ożywionej rozmowy.

– O ostatniej rewelacji słyszałyście? – Nowo przybyła mówiła tak głośno, że docierało do mnie każde jej słowo. – Zaraz wam powiem, tylko coś sobie zamówię. Pani Zosiu, dla mnie to co zawsze. Wyobraźcie sobie, że Michałowski wyjeżdża do Danii...

– On? Niemożliwe! – zdziwiła się jedna z kobiet. – Po co?

Odpowiedzi nie dosłyszałem. Z szeptu udało mi się tylko wyłowić oderwane wyrazy „fachowiec”, „praktyka”, „kooperacja”, „ważne zadanie”, co ułożyło się w dość interesującą mozaikę. Wynikało z niej, że przypuszczalny wyjazd służbowy owego Michałowskiego,

zapewne inżyniera, już stał się publiczną tajemnicą.

– A wiecie, że Pruski z centralnego zarządu nie dostanie awansu? – wtrąciła nagle pani odwrócona do mnie plecami. – Podpadł dyrektorowi z powodu opóźnienia projektu głównej instalacji elektrycznej...

– Bzdura! On zna się na tej robocie! – oświadczyła kategorycznie inna kobieta. – To na pewno Winiewicz kopie pod nim dołek. Obrzydliwy intrygant!

Siedziałem zmęczony i znudzony tą paplaniną. Panie wiedziały wszystko: kto, kiedy, dlaczego... Żadna sprawa nie stanowiła dla nich zagadki. Już kończyłem wuzetkę, gdy nagle uwagę moją zwróciła nowa postać. Do kawiarni weszła starsza pani, ubrana schludnie i gustownie – dużo czerni, ożywionej kremową koronką. Powoli przenosiłem wzrok na twarz wchodzącej. O nieba! To była Strelka! Szła przez salę lekko posuwistym krokiem. Zatrzymała się przy zajętych dyskusją paniach, skinęła im głową wdzięcznie, ale z rezerwą.

– Dzień dobry! Przepraszam za spóźnienie, ale ta komunikacja... – głos miała niski, lekko chropowaty.

Bez pytania przysiadła się do stolika ku wyraźnemu zadowoleniu rozmawiających kobiet. Kelnerka natychmiast przybiegła z kawą i ciastkiem. Pochyliły się głowy, posypały pytania. Wytężyłem słuch, starając się nie uronić nic z toczącej się obok rozmowy.

Ogarniający mnie nastrój nudy momentalnie pękł. To zaczynało być ciekawe. Od razu dowiedziałem się, że Strelka zaopatrywała panie w obcą walutę, ale po pewnym czasie rozmowa przybrała jeszcze bardziej interesujący obrót. Strelka zadawała pytania, a panie

odpowiadały. Chciała wiedzieć o wszystkim: co porabiają mężowie, jakie mają kłopoty, kto i dokąd wyjeżdża służbowo, jakie umowy zawarł pan Iks, kiedy pan Ygrek powróci z zagranicznej delegacji...

Sprawa przybrała zgoła nieoczekiwany charakter. To nie kłopoty biurowe Szerynga, to nie wartościowa książka – to wyraźnie zaczęło zakrawać na szpiegostwo. Strelka wyciągała od rozmownych kobiet mnóstwo wiadomości, które w większości przypadków stanowiły tajemnicę służbową.

Spojrzałem na zegarek. Siedziałem w kawiarni już ponad godzinę. Szklanka była pusta, butelka po coca-coli też. Nic tu po mnie – stwierdziłem. Skinąłem na kelnerkę i płacąc zagadnąłem:

– Ma tu pani przyjemną atmosferę, prawie domową. Wszyscy się znają, miłe towarzystwo...

– Ach, to nic dziwnego – odparła. – Obok jest duże osiedle, zamieszkałe przez same ważne osobistości. Wszystkie panie są stamtąd. Żony dyrektorów, kierowników... Znają się bardzo dobrze.

– A ta starsza, dystygowana pani?

– To wdowa po przedwojennym pułkowniku! Bardzo zamożna osoba.

Podziękowałem za informacje i opuściłem lokal. Wychodząc pomyślałem: Jeśli ja w ciągu godziny usłyszałem o kilku interesujących sprawach, ileż można się było dowiedzieć, przychodząc tu na przykład codziennie?

Wróciłem do Komendy. Lisiecki czekał już na mnie z odbitkami zdjęć, wykonanych na Poznańskiej.

– Jedź na Poznańską, pokaż zdjęcia dozorczy. Niech powie, czy

zna fotografowane osoby. Zdaje się, że trafiliśmy na nieliczną rozrób-
kę... Jak wrócisz, sprecyzujemy wnioski i walimy do starego.

Upłynęła godzina i Lisiecki był z powrotem. Na dwóch zdjęciach
znajdowały się osoby znane doskonale przez dozorcę – mieszkały w
tej kamienicy, jak stwierdził, prawie od wyzwolenia. Twarz z trzeciej
odbitki należała do osoby, którą dozorca widział po raz pierwszy.
Nic o tym człowieku nie potrafił powiedzieć. Mężczyzna z czwarte-
go zdjęcia wchodził często na klatkę schodową, prowadzącą do
mieszkania Kuliga. Ale czy bywał w tym mieszkaniu, tego dozorca
nie wiedział. Było to zdjęcie wysokiego, łysiego pana w wieku około
pięćdziesięciu lat. Wszystko wskazywało, że był to lokator z miesz-
kania Kuliga.

ROZDZIAŁ XI

– Towarzyszu pułkowniku – rozpocząłem po chwili namysłu –
zdaje się, że nasze dochodzenie przyjęło zgoła nieoczekiwany obrót i
w konsekwencji nie będzie mogło być dalej przez nas prowadzone.

– Proszę jaśniej, majorze. – Na twarzy pułkownika Krawczyka
nie drgnął ani jeden mięsień. – Nie po to angażujemy ludzi i czas, by
przerywać dochodzenie w połowie.

– Nie to miałem na myśli. Zdobyte wczoraj informacje wskazu-
ją, że sprawa, którą prowadzimy, jest aferą szpiegowską.

– Jakie macie dowody, majorze?

Opowiedziałem o tym, co widziałem i słyszałem w kawiarni „Ci-
chy Kącik”. Fakt przebywania Strelki w lokalu, w którym dosyć

głośno mówi się o sprawach stanowiących tajemnicę służbową, właściwie nie jest żadnym dowodem. Jednak na tle spławy Szerynga, jego kontaktów z NRF, wizyty Strelki w tej właśnie kawiarni nabierały szczególnego znaczenia. Dodatkowym argumentem był jeszcze lokal na Poznańskiej, noszący wszystkie cechy punktu kontaktowego.

Pułkownik Krawczyk siedział nadal bez ruchu. Znałem dobrze mego przełożonego i wiedziałem, że w takich chwilach trzeba czekać cierpliwie na jego wypowiedź. W ten sposób minęły dwie może trzy minuty. Wreszcie pułkownik odezwał się:

– Pójdziemy śladem łysego lokatora z Poznańskiej. Pokażcie zdjęcie Kuligowi, niech stwierdzi, czy to ten emeryt z Olsztyna. Zainteresować się też willą w Wesolej. Musicie zdobyć konkretny dowód istnienia szajki szpiegowskiej, bo to, czym dysponujecie w tej chwili, oparte jest jedynie na domysłach i może być wynikiem zwykłego zbiegu okoliczności. Nie możemy wykluczyć, że Strelka wypytywała znajome panie jedynie z babskiej ciekawości... O zdobytych dowodach meldujcie mi natychmiast. I nie muszę chyba przypominać, że powinniście mi je dostarczyć jutro, najwyżej pojutrze. Dopiero na tej podstawie przekażemy sprawę Służbie Bezpieczeństwa... Jeśli się okaże, że to jest afera szpiegowska...

Śladem łysego lokatora chciał pójść Lisiecki. Twierdził, że jest to jego odkrycie, jego własność. Nie zgodziłem się na to.

– Robiąc zdjęcie na Poznańskiej, zbliżyłeś się do niego. Na pewno zwrócił na ciebie uwagę.

– Nawet jeśli mnie zauważył, to nic zapamiętał.

– Popełniasz poważny błąd, zakładając, że twój przeciwnik jest osobą bezmyślną i ograniczoną. Lekceważysz go, a tym samym dasz mu fory. Weź pod uwagę, że przestępca jest na ogół ostrożny. Zwraca uwagę na szczegóły. W każdym człowieku widzi swego prześladowcę... Dlatego nie pójdiesz śladami łysego pana. Udasz się do inżyniera Kuliga i pokażesz mu zdjęcie podejrzanego. Ustalisz, czy jest to emeryt z Olsztyna, czy zupełnie nowa postać. Po powrocie dołączysz do ekipy obserwującej willę w Wesolej. Zbierzesz jak najwięcej informacji o jej właścicielu i mieszkańcach... Życzę szczęścia!

Przez cały prawie dzień nie działo się nic ciekawego. Nie lubiłem takiej sytuacji. Śledztwo w toku, ważna każda minuta, a tu długie chwile oczekiwania. Już myślałem, że taki stan nieróbstwa będzie trwał do końca dnia, gdy nagle jak piorun z jasnego nieba spadła wiadomość:

– Wywiadowca śledzący „łysego” w szpitalu!

Wskoczyłem do samochodu, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazł się na miejscu, i po kilku minutach byłem na Komarowa. W portierni podano mi numer pokoju, w którym leżał wywiadowca. Nim go odwiedziłem, zaszedłem do gabinetu lekarskiego. Młody, sympatyczny lekarz uspokoił mnie:

– To nie jest groźny wypadek. Pacjent ma złamane dwa żebra... Może rozmawiać, ale odczuwa dość silne bóle. Dlatego proszę nie przedłużać rozmowy.

Wywiadowca, starszy sierżant Rydzewski, dwudziestopięcioletni brunecik o sympatycznej twarzy, pracował u nas dopiero dwa lata.

Na mój widok uśmiechnął się blado.

- Co to było? – spytałem bez żadnego wstępu.
- Chuligani... Zaczepili mnie...
- Możesz opowiedzieć, jak do tego doszło?

Skinął głową.

– To był dobry punkt... Dużo drzew... Stałem pod jednym z nich. Ich było trzech... Gitowcy... Najwyższy powiedział: „Frajer, daj stówkę, bo nas cholernie suszy”... – Odetchnął głęboko, wydając z siebie syk bólu. – Sięgnąłem po „maciejkę”. Przepraszam, po ręczny miotacz gazu... Oni byli szybsi. Cios w głowę, w brzuch. Kopali mnie. Straciłem przytomność... – znów syk bólu. – Ocknąłem się w karetce pogotowia.

Zabrali mi „maciejkę”.

Drzwi pokoju uchyliły się i do środka zajrzała pielęgniarka:

- Proszę już kończyć!
- Jeszcze jedno pytanie, siostró, i zaraz uciekam!

Pielęgniarka zniknęła za drzwiami.

- Ustaliłeś miejsce zamieszkania „tysego”?

– Tak. Willa na Promyka. Numer czterdzieści dwa – mówił z przerwami, głęboko oddychając.

– Trzymaj się, stary! Lekarz powiedział, że to nic poważnego! Do zobaczenia! Wpadnę do ciebie za parę dni. – Z tymi słowami opuściłem pokój. Cóż właściwie mogłem mu jeszcze powiedzieć? Podejmując pracę w milicji, każdy z nas zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie na niego czyha. W każdej chwili ryzykuje życie. Czy to przechodząc obok wyrostków podochoconych piwem, czy w pościgu za niebezpiecznym przestępcą... Padają na skrzyżowaniu ulic, miażdżeni samochodami, prowadzonymi przez piratów

drogowych. Toną, ratując topiącego się pijaka. Giną w płonących domach i wszędzie tam, gdzie konieczna jest pomoc, gdzie trzeba zapobiec lub wykryć zbrodnię.

Rydzewski i tak miał więcej szczęścia od jednego z funkcjonariuszy, którego pogrzeb odbył się tydzień temu. Był późny wieczór. Komisariat MO w jednej z podwarszawskich miejscowości został powiadomiony telefonicznie o napadzie w sąsiedniej osadzie. Na miejsce napadu wysłano na motocyklu starszego sierżanta, długoletniego pracownika MO, ojca dwojga dzieci, wzorowego męża. Szosa była pusta. Mimo późnej pory widoczność dość dobra. Motocykl pędził z dużą prędkością. I nagle wypadek. Motocykl wali się do rowu. Ciało funkcjonariusza odrzucone na odległość kilku metrów, głowa odcięta od tułowia leży na środku szosy. Jak się okazało, przyczyną śmierci był drut, rozciągnięty w poprzek drogi przez jakichś bandytów. A telefon o napadzie okazał się fałszywym alarmem. Chodziło po prostu o zasadzkę na milicjanta.

Gdy wróciłem do Komendy, Lisieckiego już dawno nie było. Jak mnie poinformowała panna Krysia, wyjechał do Wesołej ponad godzinę temu. Już tego dnia do pracy nie wrócił. Następnego ranka pojawił się w biurze przed ósmą. Musiał z niecierpliwością oczekiwać mojego przybycia, gdyż nie czekając na żadne pytanie zaczął mi składać relację:

– Byłem u inżyniera Kuliga. Przyjął mnie bardzo grzecznie... Pokazałem zdjęcie „łysego”. Zna go. To ten emeryt z Olsztyna, który wynajął od niego mieszkanie. Nic bliższego o nim nie wie... Potem pojechałem do Wesołej, wpadłem do komendanta posterunku i porozmawiałem trochę z sąsiadami pani Strelki. Jako ewentualny

podnajemca jakiegoś przyzwoitego pokoju na okres dwóch, trzech lat. Do czasu, dopóki nie otrzymam mieszkania spółdzielczego.

– W jaki sposób zdobyłeś informacje, to twoja sprawa. Powiedz mi lepiej, czego się dowiedziałeś? – Przerwałem potok wymowy Lisieckiego.

– Wzorowy żołnierz nie mówi tego, co wie, ale wie, co mówi. – Porucznik był w świetnym humorze. – Mimo to, proszę cię bardzo... Myślałem jednak, że szefa, jako mego przełożonego, zainteresują stosowane przeze mnie metody operacyjne. Pomijam mój urok i wdzięk osobisty, umożliwiające mi szybkie kontakty z masami pracującymi miast i wsi. – Lisiecki był nieustępliwy. Musiał się wygadać. Znając go, wiedziałem, że im dłuższy wstęp, tym zdobyte przez niego informacje będą ciekawsze. – Willa jest własnością niejakiego pana Dargiela, ale on w niej nie mieszka. – Nareszcie przeszedł do konkretów. – Zagląda tylko od czasu do czasu, by sprawdzić, czy chałupa jeszcze stoi. A teraz niech szef zgadnie, gdzie on mieszka?

– W Olsztynie! – strzeliłem w ciemno.

– Ee, szefie, tak nie można! Chodzę, szukam, wysilam swój talent operacyjny, a tymczasem szef już wie... Zgadza się! Mieszka w Olsztynie! Coś za dużo tych śladów prowadzi do Olsztyna. Czy to nie dziwne?

– Tak, dziwne! – odpowiedziałem z roztargnieniem, gdyż Olsztyn trafił we mnie jak grom z jasnego nieba.

– Poza tym widziałem tę pomoc domową, Strelkę. Jak dla mnie, jest ona zbyt elegancka i za inteligentna.

– Ustaliłeś dane personalne tego Dargiela?

– Szefie!... Szef mnie jednak nie docenia! – Lisiecki wyjął z

wewnętrznej kieszeni notes, wyrwał z niego gęsto zapisaną kartkę i położył ją na biurku. – Oto życiorys tego osobnika. Oczywiście, zawiera tylko te szczegóły, które ten pan chciał podać do ogólnej wiadomości. Innych będziemy musieli poszukać sami.

– I poszukamy! Nie ma innej rady. Pojedziemy do Olsztyna! Ale na razie przypatrzmy się jeszcze naszemu emerytowi... Czy nowy obserwator został wyznaczony?

– Tak, zaraz po otrzymaniu meldunku o napadzie – wyrecytował Lisiecki.

– Są od niego jakieś meldunki?

– Nie, jak dotąd, siedzi cicho.

– Załatw radiowóz. Porozmawiamy z nim bezpośrednio! – Podniosłem się z krzesła. – Kto to jest?

– Plutonowy Szewczyk.

– Ach, ten... Nie bardzo mu wierzę. Nie posiada zdolności koncentracji tak koniecznej w naszym zawodzie. Często zdarzają mu się nieprzemyślane posunięcia... – Teraz ja rozgadałem się, ale naprawdę nie byłem zadowolony, że tak odpowiedzialne zadanie powierzono właśnie temu funkcjonariuszowi. Lisiecki słuchał z miną wyrażającą całkowite zrozumienie dla ludzi tego pokroju. – Nie dalej jak miesiąc temu miałem z nim kłopoty. – Nie mogłem pohamować ogarniającego mnie rozdrażnienia. – Delegowałem go do jednego z przyzwoitych nocnych lokali, by obserwował piękność trudniącą się wykonywaniem najstarszego na świecie zawodu. Podejrzewaliśmy ją o zbyt bliskie kontakty z zagranicznym rekinem przemytu walut. Szewczyk, jak zwykle elegancki, zwrócił uwagę na towarzystwo dość wesołe, ale nie wykraczające poza granice norm przyjętych w tego rodzaju lokalach. Pech chciał, że jeden z rozbawionych panów

wylał przypadkowo trochę wina na nienagannie odprasowane spodnie Szewczyka. Ten oburzony zerwał się z krzesła i w ostrych słowach skarcił wesołego pana. No i zaczęło się! Szewczyk, niepomny swej misji, doprowadza do awantury. W pewnym momencie „winowajca” odrzuca połą marynarki i z okrzykiem: „Ja panu pokażę” sięga do tylnej kieszeni spodni. Szewczyk błyskawicznym ruchem wyrywa spod pachy pistolet i kieruje go w stronę obrażonego pana. Zapanowała śmiertelna cisza. Obaj przeciwnicy stali z wyciągniętymi rękami, tylko że w dłoni wywiadowcy czernił się pistolet, a jego przeciwnik trzymał legitymację służbową, z której wynikało, iż jest znanym naukowcem. Śmiech towarzystwa rozładował groźny nastrój. Nieporozumienie wyjaśniło się, ale kierownik sali zawiadomił nas o tym incydencie i prosił, byśmy nie delegowali tak krewkich wywiadowców do cieszącego się dobrą opinia lokalu. No i jeszcze jedno. Ten adonis ogląda się za każdą efektowną babką. Jak z takim pracować? No, czego się gapisz? – Powoli wracałem do równowagi. – Radiowóz załatwiony?

– Nie, szefie! Nie chciałem szefowi przeszkadzać w snuciu wspomnień! – Lisiecki stuknął obcasami i wybiegł z pokoju. Wrócił po dziesięciu minutach.

– Trudno było, szefie! Jeden wóz na kołkach, w drugim brak obsługi. Tylko trzeci jest w obiegu.

– Całe szczęście, że choć jeden!

– Tak, szefie! Ale go nie otrzymaliśmy...

– Więc nie mamy żadnego pojazdu?

– Mamy, szefie! Dali mi ten bez obsługi. Pozwoli szef, że go powożę?

- Słuchaj, chwilami mam dosyć twoich żartów.
- Tak jest, szefie! – Lisiecki udawał obrażonego.

Siadłem na przednim siedzeniu. Lisiecki ruszył z miejsca lekko i spokojnie. Po chwili pędził sześćdziesiątką w stronę Żoliborza. Nasz wóz nie zwracał uwagi przechodniów. Był to fiat 125p bez znaków milicyjnych. Tylko ktoś, kto zajrzałby do środka, mógłby się zdziwić, widząc radiotelefon umocowany przed prawym siedzeniem, na wysokości kolan pasażera. W rejonie placu Komuny Paryskiej postanowiłem nawiązać łączność z Szewczykiem. Włączyłem radiotelefon. Lisiecki, nie odrywając wzroku od jezdni, wyrecytował:

- My: Zet 54, on: Zet 154.

Jednak z tym szaloputa dobrze mi się współpracuje! – pomyślałem.

- Zet 154, Zet 154! Tu Zet 54! Zgłoś się, odbiór! – Zwolniłem przycisk. Odpowiedziała mi cisza. Powtórzyłem wywołanie. Znów nic.

- Leć na Promyka! – Zacząłem się niepokoić. – Tylko niezbyt prędko!

- Szefie! Jak szef może!... Przecież wiem...

Przejechaliśmy całą ulicę. Nikogo. Ani żywej duszy.

Albo tak dobrze się zamaskował, albo znów poleciał za jakąś babą! – pomyślałem. Wywołałem jeszcze kilka razy Szewczyka. Nie było odpowiedzi.

- Jedź w stronę Komendy! Może idzie za emerytem!

Jechaliśmy w stronę Śródmieścia. Co pewien czas włączałem radiostację. Szewczyk powinien nas wreszcie usłyszeć. Chyba że znajduje się w zupełnie innej dzielnicy.

Wjechaliśmy na Marszałkowską. Nie zaprzestałem wywoływać. Nagle na wysokości Nowogrodzkiej postyszałem trzask w słuchawce, po czym rozległ się stłumiony głos Szewczyka:

– Zet 54, Zet 54! Tu Zet 154! Słyszysz cię! Odbiór!

Chwyciłem mikrotelefon.

– Zet 154! Dlaczego nie zgłosiłeś się wcześniej?

– Jechałem autobusem, nie miałem warunków.

– Zet 154, gdzie jesteś? Słyszysz mnie?

– Zet 54, słyszysz cię dobrze! Jestem Wiejska trzynaście, Wiejska trzynaście!

– Obiekt jest z tobą?

– Tak, jest ze mną!

– Zet 154! Co on tam robi?

– Za chwilę!

Postyszałem trzask. Szewczyk wyłączył się.

– Rysiu! Słyszałeś adres?

– Tak, szefie! Zakotwiczymy na Wiejskiej!

Trzask w słuchawce.

– Zet 54, Zet 54! Tu Zet 154! Znów mogę mówić! Odbiór!

– Co on robi?

– Jest u filatelistów.

– Gdzie? – krzyknąłem przerażony. – Jeszcze brakowało nam jakiegoś zrzeszenia!

– Nie moja wina, nie moja wina! – zabrzmiało w słuchawce.

– O, przepraszam! – zreflektowałem się. – Zet 154! Prowadź dalej obserwację, prowadź obserwację! Personalalia znasz? Podaj personalalia?

– Zet 54, zrozumiałem! Prowadzę dalej obserwację! Podaję dane: August Bertrandt. Powtarzam: August Bertrandt! Zrozumiałeś? Odbiór!

– Zet 154! Zrozumiałem! Dziękuję, życzę szczęścia! Koniec! Wyłączyłem radiostację.

– Tego nam jeszcze brakowało! – zwróciłem się do Lisieckiego, który tymczasem zaparkował wóz na Frascati. – Trzech, czterech, no, dziesięciu podejrzanych! To mógłbym wytrzymać. Ale filateliści!? Ilu może być tych filatelistów?

– Dokładnie, szefie, nie wiem... Ale obawiam się, że dużo...

Stanęliśmy przed bramą przedwojennej kamienicy. Z boku, wśród innych tablic, wisiała niebieska tabliczka z białym napisem: „Polski Związek Filatelistów Okręg Warszawski, ul. Wiejska 13 m. 13, II p, z podwórza na lewo”. Weszliśmy w ciemną, zimną bramę. Przez ponure podwórze doszliśmy do klatki schodowej. Kręcone, kuchenne schody. Z trudem piąłem się na 2 piętro. Przyzwyczajeni do nowych bloków, nie zdajemy sobie sprawy, jak wyglądają „kuchenne schody”. Ich wygoda i stopień użyteczności były odwrotnie proporcjonalne do wygody schodów frontowych, schodów dla państwa i ich gości. Przed drzwiami biura zarządu musiałem chwilę odpocząć. Nie wyglądałoby poważnie, gdyby funkcjonariusz milicji przeprowadzał służbową rozmowę, łykając co chwila powietrze jak karp wyciągnięty z wody. Spojrzałem na Lisieckiego. Nie wyglądał na bohatera.

– A mówią, że filateliści, to starsi panowie! – stwierdził. – Być może... Ale za to z końskim zdrowiem!

Roześmieliśmy się i weszliśmy do środka. W lokalu panowała okropna ciasnota. Przedpokój zastawiony szafami, w pokoikach

tłumy ludzi, gwar i ruch jak na odpuscie w Łowiczu podczas Bożego Ciała. Weszliśmy do jednego z pokoi, w którym było najluźniej. Siedziały tu przy biurkach dwie panie.

– Dzień dobry! Czy możemy mówić z prezesem okręgu? – spytałam najbliższej siedzącej.

– To nie będzie łatwe, bo właśnie zaczęły się obrady zarządu. Spróbuję to panom załatwić... A panowie skąd i w jakiej sprawie? – Była bardzo uprzejma.

– W osobistej, do pana prezesa...

Urzędniczka spojrzała na nas wzrokiem klientki, która zobaczyła, że na wagę rzucają jej miast wołowego na bitki kawał z kością na mielone.

– Proszę poczekać! – mówiąc to, zniknęła za wysokimi, ciężkimi drzwiami, zaopatrzonymi w tabliczkę: „Posiedzenie Prezydium. Proszę nie wchodzić”. Po chwili wyszła, a za nią starszy pan o ujmującej powierzchowności.

– Słucham panów! Jestem prezesem okręgu... Kwiatkowski. – przedstawił się.

– Korczuk! A to mój współpracownik, Lisiecki! – przedstawiłem nas. – Jeśli pan pozwoli, powód wizyty wolelibyśmy podać na osobności...

Prezes Kwiatkowski wprowadził nas do dużego pokoju, w którym przy stołach pokrytych zielonym sukniem siedziało kilkunastu panów, dyskutując o czymś zawzięcie. Minęliśmy to pomieszczenie i weszliśmy do małego pokoiku z tyłu sali.

– Słucham panów?

Okazaliśmy nasze legitymacje.

– Czy zna pan Augusta Bertranda?

– Trudno mi znać wszystkich filatelistów warszawskich – obruszył się prezes. – Nie przypominam sobie takiego nazwiska. Jedno jest pewne, on nie należy do naszego aktywu.

– Był tu dzisiaj. Piętnaście, najwyżej dwadzieścia minut temu...

– Może był w komisji wymiany... To znaczy, mógł nadać list z walorami filatelistycznymi dla swego korespondenta zagranicznego.

Spojrzałem na Lisieckiego. Ten lekko skinął głową. Tak, to chyba było to!

– Czy można sprawdzić dyskretnie tę informację?

– Naturalnie! Zaraz poproszę jedną z pań...

– Wolelibyśmy, aby jak najmniej osób o tym wiedziało.

– Tak, rozumiem! Proszę poczekać. Sam sprawdzę.

– Czy moglibyśmy zobaczyć ten list?

– To niemożliwe! Obowiązani jesteśmy zachowywać tajemnicę korespondencji. Filateliści składają co prawda otwarte listy, ale tylko po to, abyśmy mogli sprawdzić, co wysyłają i za jaką sumę.

– Prosimy wobec tego o sprawdzenie, czy Bertrandt nadał jakiś list...

Sprawdzanie nie trwało długo.

– Tak! Pan August Bertrandt nadał przesyłkę filatelistyczną dla swego korespondenta we Francji.

– Jeżeli będziemy mieli zezwolenie prokuratora na obejrzenie listu, nie napotkamy chyba na opór ze strony panów?

– To będzie zgodne z prawem! Jestem prawnikiem i znam przepisy. Wiem, że prokurator może wydać zezwolenie na rewizję lub przejrzenie korespondencji.

– Prosimy więc, by interesujący nas list pozostał w biurze do jutra.

– Będzie na pewno! Zanim dokonamy wszystkich czynności, związanych z wysyłką, miną co najmniej dwa dni.

Podziękowaliśmy panu prezesowi i opuściliśmy pomieszczenie związku.

ROZDZIAŁ XII

Z uzyskaniem zgody prokuratora na przeczytanie listu Bertrandta, jak zawsze, były kłopoty. Czy rzeczywiście jest to konieczne? Czy Bertrandt należy do podejrzanych? Co nam da przeczytanie tego listu? A może udałoby się tego uniknąć? Czułem, że jeszcze trochę, a nie wytrzymam nerwowo. W pewnym momencie wybuchnąłem:

– Słuchajcie! Znamy się nie od dziś. Czy mieliście kiedykolwiek zastrzeżenia do dostarczanych przeze mnie materiałów dowodowych? Nie traktujmy się jak dzieci, które dla zwykłego figla chcą przeczytać, co Jaś napisał do Marysi! Jesteśmy dorosłymi ludźmi! Jeśli przychodzę do was z taką prośbą, to znaczy, że ten list jest mi potrzebny!

– Dlaczego więc milicja zajmuje się tą sprawą?

– Bo na razie mamy morderstwo! Ten list może być jedynym, jak na razie, dowodem działalności szpiegowskiej podejrzanego przez nas człowieka. Jeśli będziemy mieli pewność, prześlemy sprawę Służbie Bezpieczeństwa.

Po dwudziestu minutach wychodziłem z zezwoleniem. Wychodziłem? Skądże! Ja wybiegłem! I na Wiejską! Okazałem zezwolenie, pokwitowałem odbiór listu i zawiozłem go do naszego laboratorium. Po sfotografowaniu przekazałem ten, jak sądziliśmy, cenny dowód Lisieckiemu, który natychmiast odwiózł go do związku filatelistów. Ja zaś zająłem się treścią listu. Po przeczytaniu, zakląłem! Niewypała! Nie było w nim nic ciekawego. Ot, zwykły list filatelisty.

Drogi przyjacielu! Przesyłam ci znaczki polskie za pierwszy i drugi kwartał tego roku. Proszę o znaczki francuskie według katalogu „Michel”. Przede wszystkim o 4 x 442 i do 6 x 315 oraz 1562, 1464, 1463, 0453, 886, 1795, 686, 1797, 1785, 696, a także 898, 521, 831, 650, 1475, 71, 3000, 745, 587, 0297, 2 x 221, 97. Z filatelistycznym pozdrowieniem August.

Mimo niewinnej treści, wiedząc jak pomysłowi potrafią być ludzie, muszę przekazać list naszym specom od łamania szyfrów. A jeśli okaże się, że popełniliśmy błąd, jeśli jest to zwykła przesyłka filatelisty? Co wtedy? Patrzyłem na leżącą przede mną fotokopię i czułem wzbierającą wściekłość. Staję się coraz bardziej niecierpliwy i nerwowy – myślałem z niepokojem. Wszystko zaczyna mnie drażnić. Chciałbym sprawę zakończyć od razu! Poczułem pieczenie w okolicy piersi. Źle! Te bóle zdarzają się coraz częściej. Usiadłem wygodniej, wyciągnąłem nogi. W takiej półleżącej pozycji czułem się znacznie lepiej. Niestety, odpoczynek trwał tylko kilka minut, bo nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł kolega wydziałowy, kapitan Rzemek.

– Cześć, stary! Podobno masz u siebie akta sprawy „Pończocha”!?

– zaczął od progu. – Prowadzę teraz coś podobnego i chciałem zajrzeć do dokumentów, by się podszkolić!

Wyjmując akta z szafy przypomniałem sobie, że Rzemek jest, czy był, aktywistą filatelistycznym.

– Przysługa za przysługę! – odezwałem się ze śmiechem. – Zobacz ten list i jako wytrawny filatelista powiedz mi, czy nie ma w tym tekście czegoś nietypowego?

Rzemek wziął do ręki odbitkę.

– Każdy szanujący się filatelista układa listę braków, tak zwaną „mancoliste”, według wielkości numerów znaczków – stwierdził po zapoznaniu się z treścią listu. – A tu numery ułożone są po bałaganiarsku.

Poza tym nie używa się takiego sformułowania: i do...” Podaje się po prostu 137 x 4. Żaden filatelista nie napisze „do tyłu a tyłu serii...” Mówi się konkretnie, ile... Jeśli chcesz, daj mi ten tekst. Mam u siebie w pokoju katalogi, więc mogę ci sprawdzić poszczególne pozycje. Może tu będzie coś ciekawego.

Zjawił się po dwudziestu minutach.

– Muszę ci powiedzieć że ten twój filatelista, to ciekawy typ. Co on właściwie zbiera? Żadnego tematu, bo znaczki od Sasa do lasa. Nie bierze całych serii, a tylko pojedyncze sztuki. Żeby jeszcze te najdroższe... Ale nie. Zbiera Francję? Jeśli tak, to powinien już dawno mieć te pozycje. Wylicza numery, a w środek wstawia „a także”. Coś mi się tu nie podoba... Jeśli ten tekst ma dać ci rozwiązanie, weź go dobrze pod lupę...

Jak niesiony wiatrem pobiegłem do naszych deszyfrantów. Mimo że nie lubię kumoterstwa i powoływania się na znajomości, użyłem

w tym przypadku wszystkich argumentów, łącznie z zaproszeniem kierownika sekcji deszyfrantów, Witka Szymborskiego, na dobrą kolację. W rezultacie po sześciu godzinach otrzymałem rozszyfrowany tekst, który brzmiał:

Przekazuję wiadomości siódmego skrytka B Karo.

Jak stwierdził Szymborski, szyfr stosowany przez Bertranda był bardzo naiwny.

– Może mi chociaż wytłumaczysz, na czym ten szyfr polegał? – spytałem.

– Rozwiązanie, jak powiedziałem, jest proste. „O 4 x 442” znaczyło, że od czterech kolejnych numerów należy odjąć 442, zaś do następnych sześciu dodać 315. Zostało to zapisane: „do 6 x 315”. Po wykonaniu tych czynności otrzymaliśmy ciąg cyfr, widoczny tu, u góry: 1120, 1022, 1021, 0011, 1201, 2110, 1001, 2112, 2100, 1011. Pod każdą z nich podpisujemy cyfry, podane jako numery znaczków po słowie „a także” i odczytujemy je w zapisie pionowym. Daje to: 18, 19, 28, 05, 12, 01, 28, 23, 11, 06, 25... i tak dalej. Te cyfry, to nic innego, jak kolejne litery alfabetu. A więc 05 to E, 01 – A, 18 – P, 19 – R, 12 – K... Jak widzisz, wszystko jest dziecinnie łatwe – zakończył swe wywody Szymborski.

Tak oto miałem w ręku niezbity dowód, że Bertrandt i jego współpracownicy stanowią zgraną, dobrze zamaskowaną szajkę szpiegowską. Jednocześnie jednak wiedziałem, że na tym kończy się moja rola, że będę musiał zrezygnować z prowadzenia śledztwa. Zrobiło mi się smutno. Gdy zdążyłem zżyć się z moimi „podopiecznymi”, gdy już byłem u kresu drogi, nadeszła chwila, w której będę musiał się z nimi rozstać. To dziwne, ale często mając do czynienia z

przeciwnikiem sprytnym i inteligentnym, z którym walka przebiega na zasadzie gry w szachy, zaczynam darzyć go sympatią. A gdy go wreszcie złapię, jest mi przykro, że straciłem dobrego partnera do gry. Po rozgrywce z przeciwnikiem prymitywnym odczuwam zwykle uczucie zawodu. Moje rozmyślania przerwało wejście Lisieckiego, który widząc moją zaszępioną minę spytał:

– Co się stało?

Bez słowa podałem mu rozszyfrowany tekst listu.

– No to koniec pieśni! – stwierdził.

– Jak widzisz.

– Stary już wie?

– Zaraz zapowiem naszą wizytę – to mówiąc podniosłem mikrofon. Panna Krysia była jak zawsze nieoceniona. Choć wszystkie sprawy do „starego” były zawsze bardzo pilne, moje od pewnego czasu uzyskały „zielone światło”. Przywilej ten, jak już dawno zdążyłem się zorientować, zawdzięczałem Lisieckiemu, którego osoba nie była tak zupełnie obojętna pannie Krysi.

– Pułkownik oczekuje was za dziesięć minut – poinformowała.

Gdy tylko zamknęły się za nami drzwi gabinetu, usłyszeliśmy:

– Mam nadzieję, że tym razem przynosicie mi, zgodnie z umową, informacje, pozwalające zamknąć sprawę Szerynga.

– Tak! – potwierdziłem przypuszczenia szefa. – Mamy już niezbita dowody, pozwalające zamknąć sprawę.

– Proszę więc o zreferowanie.

– Za zgodą prokuratora przeczytaliśmy list wysłany przez jednego z naszych podejrzanych, Bertranda, do Francji. Oto treść tego

listu... – podałem pułkownikowi Krawczykowi fotokopię. – A oto ten sam tekst po rozszyfrowaniu przez naszych speców – tu podsunąłem pułkownikowi drugą kartkę.

Pułkownik Krawczyk nie wyglądał na zaskoczonego.

– Przypuszczałem, że to afera szpiegowska. Ale chciałem mieć pewność. – Obrzucił nas uważnym spojrzeniem i na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. – Dziękuję wam za włożoną pracę i trud... Czy możecie przygotować mi wszystkie materiały dotyczące sprawy Szerynga – wahał się przez moment – przypuśćmy za dwie godziny. – Zobaczywszy moje potakujące skinienie głową, zaczął mówić dalej: – Porozumiem się natychmiast ze Służbą Bezpieczeństwa, ustalę termin spotkania, na którym przekazemy im dokumenty. Dalszą obserwację Matuszczaka, Strelki oraz Bertrandta będziemy prowadzili bez zmian, aż do przejścia sprawy przez kolegów z resortu spraw wewnętrznych. To wszystko... Dziękuję towarzyszom. O terminie narady powiadomi was sekretarka. Wolałbym, żebyście do tego momentu byli w zasięgu telefonu. Do zobaczenia!

Odmeldowaliśmy się i poszliśmy do mego gabinetu, by zebrać i ułożyć dokumenty, dotyczące sprawy Szerynga. Nie minął kwadrans, gdy zadzwonił telefon. Panna Krysia informowała, że pułkownik ustalił termin narady na godzinę 16.00. Westchnąłem ciężko. Znow wyjdziemy z pracy wieczorem. O wpół do czwartej byliśmy gotowi do przekazania sprawy. Za dwie czwarta zapukaliśmy do drzwi gabinetu pułkownika Krawczyka, w którym, jak się okazało, znajdowali się już trzej mężczyźni w cywilnych ubraniach. Zameldowaliśmy się zgodnie z regulaminem, choć pułkownik nie lubił tych ceremonii.

Nastąpiła prezentacja:

– Major Korczuk, odpowiadający za całość śledztwa w sprawie Szerynga, i porucznik Lisiecki, jego współpracownik. A to towarzysze ze Służby Bezpieczeństwa. – Pułkownik wskazał trzech mężczyzn.

– Podpułkownik Świątek.

– Major Orliński.

– Major Góralczyk – przedstawili się kolejno.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i usiedliśmy na wskazanych przez pułkownika krzesłach.

– Nim przystąpimy do sprawy, towarzysze pozwolą: dla kogo kawa, dla kogo herbata? – pułkownik Krawczyk policzył podniesione ręce i połączył się z sekretarką: – Dwie kawy i cztery herbaty proszę... Aha, i jeszcze jedno, to jest bardzo ważna narada, proszę więc zapamiętać... wie pani o czym? – Pułkownik Krawczyk nie lubił, gdy panna Krysia wносиła jego porcję leków w obecności osób spoza kręgu pracowników naszej jednostki.

– Możemy przystąpić do sprawy? Jeśli tak, major Korczuk ma głos.

Powoli, punkt po punkcie, omawiałem stan i wyniki naszych dotychczasowych prac. Tu, gdzie było to konieczne, odczytywałem krótkie fragmenty dokumentów. Towarzysze ze Służby Bezpieczeństwa nie przerywali moich wywodów, tylko od czasu do czasu zapisywali coś w swoich notesach. Gdy skończyłem, pułkownik Krawczyk zwrócił się do gości:

– Czy towarzysze mają jakieś pytania?

– W zasadzie nie – odezwał się podpułkownik. – Ponieważ przedstawione nam materiały dowodowe świadczą wyraźnie, że mamy do czynienia z siatką szpiegowską, nie pozostaje nam nic innego, jak zająć się tą sprawą. Całość dokumentów odbierze i pokwituje major Góralczyk... Majorze Orliński – zwrócił się do swego współpracownika – proszę zająć się podmianą obserwacji milicyjnej naszymi ludźmi.

– Do przekazania obserwacji upoważniam z naszej strony porucznika Lisieckiego – wtrącił pułkownik Krawczyk.

Zapanowała cisza. Zdawało się nam, że narada została zakończona. Nawet szybko to poszło – pomyślałem. No cóż, i tak bywa w naszej pracy. Trzeba się pożegnać i łyknąć trochę świeżego powietrza po tym zadymionym gabinecie. Okazało się jednak, że podpułkownik Świątek ma nam jeszcze coś do powiedzenia.

– Chciałem wam podziękować za zgromadzone materiały – zaczął dość oficjalnym tonem. – Powierzono mi dalsze prowadzenie śledztwa w tej sprawie, ale sami nie będziemy tego robić. Z przedstawionych materiałów wynika, że obejmuje ona stosunkowo duży krąg ludzi. Nie o wszystkim jeszcze wiemy, sporo elementów wymagać będzie dodatkowego potwierdzenia lub dokładniejszego wyjaśnienia. Towarzysze są już wprowadzeni w tok sprawy, dlatego też proponuję, abyśmy działali wspólnie. Ostateczny cel naszej pracy jest przecież jeden. Sądzę, że najrozsądniej będzie przyjąć następujący kierunek dalszych czynności: ja przejmuję kierownictwo, ustalę i koordynuję zadania, wyznaczam wykonawców. Każdy z towarzyszy zajmie się z kolei konkretnym odcinkiem pracy. W trybie

roboczym będziemy wymieniać spostrzeżenia i zgłaszać nowe propozycje, bo liczę na waszą inicjatywę. No więc jak, towarzyszu pułkowniku – spojrzał na milczącego Krawczyka. – Co o tym myślicie? Ruszymy z miejsca zespołowo?

– Muszę przyznać, towarzyszu – odparł zagadnięty – że propozycję współpracy przyjmuję z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony jesteśmy wdzięczni za zaproszenie, z drugiej jednak mamy za mało ludzi: na majora Korczuka i porucznika Lisieckiego czeka już następna sprawa. Rozumiem jednak waszą sytuację i podzielam przedstawione racje. Największym ciosem dla funkcjonariusza prowadzącego śledztwo jest przerwanie go w połowie i przekazanie komu innemu. Tylko dlatego, biorąc pod uwagę nasz dotychczasowy wkład pracy i osiągnięte wyniki, zgadzam się na udział majora Korczuka i porucznika Lisieckiego w proponowanym przez was, towarzyszu Świątek, zespole. Myślę, że szybko znajdziecie wspólny język. Co o tym sądzicie? – zwrócił się do nas, kiwając zachęcająco głową.

– Właściwie wszystko już zostało powiedziane – zauważyłem, wyręczając Lisieckiego. – Możemy tylko podziękować za miły gest. Skoro mamy współpracować, mogę zapewnić, że ze swojej strony zrobimy wszystko, co będzie do nas należało w przyjętym planie czynności.

– Czekamy więc jutro o godzinie ósmej. – Podpułkownik Świątek podał nam numer pokoju.

– Teraz przystąpmy do przejęcia dokumentów.

Gdy wreszcie rozstaliśmy się, była godzina 19.00. Nie po raz pierwszy wychodziliśmy z gmachu Komendy o tej godzinie...

– I co ty na to? – spytałem Lisieckiego, który był dziwnie

milczący. – Bo ja jestem zadowolony z propozycji kolegów ze Służby Bezpieczeństwa.

– Ja też. W ten sposób mogę jeszcze przedłużyć współpracę z tobą... A poza tym: „Tajemnica szczęścia i cnoty tkwi w tym, by lubić to, co musi się robić...”

ROZDZIAŁ XIII

Pierwsza narada naszego zespołu przebiegła sprawnie. Prowadził ją podpułkownik Świątek.

– Co wiemy o siatce? Właściwie dużo, chociaż nie znamy jeszcze jej wszystkich rozgałęzień. Osoby podejrzane to August Bertrand, Emma Strelka, Wojciech Matuszczak, Dargiel. Podejrzane lokale: willa w Wesołej, mieszkanie przy Poznańskiej, willa przy ulicy Promyka. Jak powiedziałem na wstępie, nie znamy stanu osobowego całej siatki. Dlatego jeszcze przez pewien czas musimy obserwować podejrzanych, zwracając szczególną uwagę na osoby kontaktujące się z nimi. Majorze Orliński, czy nasi pracownicy przejęli już obserwację?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku! – potwierdził zapytany. – Czekamy na pierwsze meldunki. Razem z porucznikiem Lisieckim postaramy się nawiązać łączność radiową z poszczególnymi punktami.

– Dobrze, dziękuję! Zestawienie meldunków proszę mi dostarczać w miarę potrzeb. Jeśli nie będą zawierały nowych, istotnych szczegółów, nie meldować. – Podpułkownik Świątek zajrzał do notatek i po chwili mówił dalej: – Co wiemy o podejrzanych? Niewiele.

Musimy zdobyć ich dokładne życiorysy. Proponuję zacząć od Dargiela, właściciela willi w Wesołej. Może z nim być, tak jak z tym... – Podpułkownik zaczął szukać w papierach. – Aha, z tym Kuligiem. Jeśli Dargiel jedynie odnajduje willę Strelce, a nie ma z nią kontaktów szpiegowskich, należy go wyeliminować ze sprawy. Niech nam nie zaciemnia sytuacji. Sprawami personalnymi i analizą życiorysów zajmie się major Korczuk. Towarzyszu majorze! – Podpułkownik zwrócił się do mnie bezpośrednio. – Gdyby zaistniała konieczność wyjazdu do Olsztyna, proszę mi o tym zameldować. Dostaniecie jakiś pojazd.

Skinałem głową w milczeniu. Jak dotąd wszystko było jasne.

– Następna sprawa to wykrycie sposobów i metod kontaktowania się członków siatki z ich mocodawcami – kontynuował podpułkownik Świątek. – Jedną drogę już znamy: korespondencja pod pozorem wymiany znaczków pocztowych. Istnieją również skrzynki kontaktowe. Ale ile? W liście wymieniono skrzynkę B. To znaczy, że na pewno jest skrzynka A. Ale może być ich więcej. Pozostaje jeszcze łączność radiowa... Tym zajmie się major Góralczyk. – Podpułkownik zwrócił się do siedzącego obok mnie młodego człowieka. – Niech nasze „druciki” uruchomią namiar w rejonach ustalonych lokali. To byłoby na razie wszystko. Czy są jakieś pytania? Nie słyszę! Dziękuję towarzyszy! Przypominam, że w przypadku ważnych wiadomości możecie meldować się o każdej porze dnia i nocy. Termin następnej narady wyznaczam na jutro, godzina ósma. – Wstaliśmy, narada była skończona. – Majorze Korczuk! – podpułkownik Świątek zatrzymał mnie. – Myślę, że do Olsztyna

powinniście jechać już dzisiaj. W sprawie samochodu zwróćcie się do oficera dyżurnego. Przekażę mu moje polecenie.

Odmeldowałem się. Na korytarzu czekał na mnie Lisiecki.

– I co, szefie? Działamy nadal? Szkoda tylko, że nas rozłączono. Dobrze nam było ze sobą, szefie.

– Nie przypuszczałem, że jesteś taki sentymentalny – roześmiałem się. – Jesteś bardzo zajęty?

– Na razie nie. Major Orliński poszedł sprawdzić, czy nadeszły jakieś meldunki od obserwatorów. Później jedziemy sprawdzić punkty obserwacyjne.

– To chodź ze mną do dyżurnego. Mam dostać wóz do Olsztyna. Zresztą słyszałeś, co mówił podpułkownik Świątek.

Oficer dyżurny poinformował mnie, że samochód już czeka. Pojechaliśmy do mojego domu, skąd zabrałem niezbędną na drogę drobiazgi.

Ruszyliśmy na północ. Nie miałem ochoty na rozmowę. Kierowca też nie przerywał milczenia. Mimo że takie niespodziewane wyjazdy zdarzają mi się często, zawsze wprawiają mnie w stan przygnębienia, wytrącają z rytmu. Odczuwałem brak Lisieckiego. Coraz mniej denerwowała mnie jego paplanina, jego humor, często nie pasujący do sytuacji. Przyzwyczaiałem się do niego. Jak on to mówił? „Przyjaciel powinien znosić słabość swojego przyjaciela”. Lisiecki marzy o ślubie. A ja? Za kilka dni mam pierwszy termin rozprawy... Jak to wypadnie? Moje sprawy służbowe oddaliły mnie od żony. Wreszcie stałem się jej obojętny. Trzeba było wybierać: żona albo praca. Wybrałem pracę... Nie ma sensu męczyć się w nieskończoność... Spojrzałem w okno. Przede mną rozciągała się mazowiecka

równina. Nigdy nie zgodzę się z tymi, którzy twierdzą, że Mazowsze jest smutne i mało atrakcyjne. Z zachwytem spoglądałem na wąskie pasy pól poprzecinanych zielonymi jeszcze miedzami, na kępy drzew, wśród których błyszcząły bielą niskie domki, pokryte jeszcze gdzieś słońcem. Swoiste piękno nadawały temu, zdawałoby się monotonnemu krajobrazowi, piaszczyste wydmy widniejące na horyzoncie. Szosę ocieniały rosochate wierzby. Zdaje mi się, że tylko ludzie pozbawieni wyobraźni nie widzą, jak piękne i przedziwne formy przybierają te najbardziej polskie drzewa. Pochylone nad ziemią olbrzymie korony przypominają głowy czarownic, które w beznadziejnym smutku dotykają ziemi rozwichrzonymi czuprynami. Pomiędzy szeregiem wierzb czasami zabłyśnie bielą wysmukła brzoza. Chyba nie czuje się dobrze w ich towarzystwie. Woli wieść życie w grupach oddalonych od szosy, bliżej ludzkich siedlisk. Są i sosny samotne, strzelające w niebo czerwonym nagim pniem, zakończonym płataniną zielonych konarów. Stoją smutne wśród zoranych pól, marząc o dawnych czasach, kiedy to w ostępach dzikiej puszczy królował żubr i niedźwiedź.

Usiadłem wygodniej i przymknąłem oczy. Znów ogarnęła mnie fala wspomnień. Byłem tym nieco zirytowany. Czy nigdy nie uda mi się zapomnieć o przeszłości, czy czarne myśli jak koszmary będą goniły mnie wszędzie. Muszę się przecież w końcu z tego otrząsnąć. Otworzyłem oczy i znów obserwowałem mijany pejzaż.

Byliśmy już na Mazurach.

Drogę z Warszawy do Olsztyna przemierzałem wiele razy,

zawsze jednak znajdowałem się pod urokiem tych okolic. Olsztyński krajobraz mógł wprawić w zachwyt nawet najbardziej nieczułego na piękno przyrody mieszczucha. Szosa wiała się wśród gęstego szpaleru drzew, to znów pięła łagodnie do góry, by za każdym wzniesieniem odkryć przed nami nowe jezioro.

Pomyślałem, że chętnie przyjechałbym tu na odpoczynek. Wyciągnąć się nad jeziorem na soczystej murawie, słuchać delikatnego plusku wody i nie myśleć... Nie myśleć o zgiełku, o sprawach, którym zawdzięczamy nasze nerwice, wrzody żołądka i zawały. Czy nie byłoby to cudowne? Nawet nie spostrzegłem, kiedy wjechaliśmy do Olsztyna. Jeszcze kilkanaście minut jazdy zatłoczonymi ulicami i oto budynek Komendy Wojewódzkiej.

Naczelnik Wydziału Śledczego był na miejscu. Przywitaliśmy się jak starzy znajomi – prowadziliśmy wspólnie kilka spraw, a poza tym wpadałem tu dość często jako przedstawiciel jednostki nadrzędnej – i natychmiast przeszliśmy do spraw służbowych. Kiedy przedstawiłem kapitanowi Bardanowi powód mego przyjazdu, prosząc o pomoc w odszukaniu danych dotyczących interesujących nas osób, ten złapał się za głowę:

– Kochany mój! Jeszcze wy! I to z taką prośbą! Przecież ja mam tu urwanie głowy! Zobaczcie, ile spraw na nas czeka! I te kłopoty z kadrami. Tego chyba nie muszę majorowi tłumaczyć?

– Co wy tu macie za sprawę? – zażartowałem. – Od tysiąc czterysta dziesiątego roku, kiedy była większa rozróbka pod Grunwaldem, nie mieliście żadnych zbójceckich wyczynów. A napady, gwałty?

Nie przesadzajmy, kapitanie!

Naczelnika zatkało... Spojrzał na mnie z wyrzutem, westchnął głośno i zupełnie zrezygnowany zapytał:

– To jaką macie sprawę, majorze? Jeśli będę w stanie, zrobię wszystko, by wam pomóc...

– Potrzebuję dokładnych informacji o życiu trzech mieszkańców Olsztyna. – Tu podałem dane personalne Strelki, Bertrandta i Dargiela. – Jeśli zajdzie konieczność, osobiście je sprawdzę.

Naczelnik zanotował podane przeze mnie informacje i wezwał telefonicznie jednego z pracowników.

– Wszystko o tych osobach. Nawet to, czego sami o sobie nie wiedzą... I to jak najszybciej... Znacie sposób załatwiania?

Funkcjonariusz, młody człowiek w modnie skrojonej marynarce i spodniach rozszerzonych ku dołowi, skinął głową okoloną długimi puklami włosów.

– Tak jest! Postaram się załatwić szybko.

Nie chciałem przeszkadzać naczelnikowi w pracy, podziękowałem więc i poszedłem do miasta. Czasu miałem sporo. Około szesnastej zatelefonowałem do Komendy, by dowiedzieć się, jak wyglądają moje sprawy. Naczelnik Bardan miał już niektóre dane o interesujących mnie osobach.

– Przyjdźcie zaraz, majorze. Zostaję dziś dłużej w pracy, więc przekażę wam uzyskane informacje... Mam nadzieję, że do waszego nadejścia zgromadzę ich więcej.

Po kilkunastu minutach byłem u naczelnika. Ten popatrzył w leżące przed nim kartki i bez żadnego wstępu przystąpił do rzeczy:

– Bertrandt August... Urodzony trzynastego grudnia tysiąc dziewięćset piątego roku w miejscowości Jeziory Głębokie, powiat Ostróda... Tu nic ciekawego. – Kapitan przebiegał wzrokiem życiorys, wyszukując fragmentów, które mogłyby mnie zainteresować. – Aha, od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego członek NSDAP... Żadna figura... Ukończył szkołę handlową. Od trzydziestego dziewiątego w Wehrmachcie, walczył we Francji, później w Jugosławii. Po wojnie wraca do Olsztyna, gdzie podejmuje pracę w Oddziale Banku Narodowego. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym przechodzi na emeryturę, kupuje willę w Warszawie i przenosi się tam na stałe. Jego adres kolega zna. W okresie pracy nie utrzymywał żadnych kontaktów z elementami prohitlerowskimi. Lojalny obywatel. – Kapitan Bardan podał mi kartkę z charakterystyką Bertrandta i przez chwilę czytał w milczeniu kolejny meldunek.

– Teraz Dargiel. Ho, ho! Ale rodzinka! – Kapitan nie mógł powstrzymać się od komentarza. – W tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku Rudolf Dargiel i Berta Schmidt, pracownicy urzędu telegraficznego w Warszawie, zawarli związek małżeński. Wkrótce na świat przyszło dwóch synów: starszy Robert i młodszy Krzysztof. Po pierwszej wojnie światowej Rudolf Dargiel kupił działkę w Wesołej, którą zagospodarował Krzysztof, wychowanek Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie; Robert ukończył uniwersytet w Heidelbergu. W czasie drugiej wojny światowej Krzysztof podpisał „Volksliste”. Po wojnie zaczął pracować w Narodowym Banku Polskim, Oddział w Olsztynie. Na konto Krzysztofa firma Electric

Company Ltd przekazuje dość duże sumy pieniędzy, z których część przesyła on do Wesołej. Prawdopodobnie pieniądze te przeznaczone były na odbudowę, a teraz na utrzymanie domku. Robert Dargiel, obecnie obywatel szwedzki, często przyjeżdża do Polski i zatrzymuje się w Olsztynie u swego brata. Jak dotąd wiemy, że był w Polsce w roku siedemdziesiątym drugim; od dziesiątego do dwudziestego stycznia, od piętnastego do siedemnastego lipca i od pierwszego do piętnastego listopada, a w roku siedemdziesiątym trzecim od osiemnastego do dwudziestego pierwszego lutego i od szóstego do dwunastego czerwca. W tej chwili również przebywa w Olsztynie. Ma wizę jeszcze na pięć dni. Jak zawsze, tak i tym razem zatrzymał się u brata. Naczelnik podał mi drugą kartkę i sięgnął po trzecią:

– Emma Strelka... O, tu jest przynajmniej krótko i węzłowato: w ramach repatriacji wyemigrowała do NRF w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku.

– Ale ona jest w kraju! – Nie mogłem opanować ogarniającego mnie podniecenia.

– U was może być, ale ja mam wyraźnie napisane, że wyjechała. A ja wierzę w słowo pisane – zażartował i dodał już poważniej: – Nie ja prowadzę tę sprawę. Nie orientuję się, o czym już wiecie. Ale zdaje mi się, że będziecie mieli pełne ręce roboty... Jeśli Strelka jest cały czas w Polsce, to znaczy, że wróciła nielegalnie, ale wtedy nie występowałaby pod swoim nazwiskiem, albo...

– Albo co? – ponagliłem naczelnika do sprecyzowania swoich wniosków.

– Nie, nie! Nic ciekawego! Bo właśnie wpadła mi do głowy myśl, że może liczyła na brak dokładnej ewidencji osób

repatriowanych. Rozumiecie sami: rok czterdziesty ósmy. Bałagan, ludzie nie przywiązywali wtedy zbyt wielkiego znaczenia do pracy biurowej.

– Może być... – potwierdziłem.

– Niepokoi mnie ten „Szwed”. Jeśli utrzymuje on jakiś kontakt ze Strelką, która wróciła do Polski nie wiadomo kiedy i w jaki sposób, należałoby go mieć na oku. Ale on ma paszport. Wyjedzie, i szukaj wiatru w polu.

– Chwileczkę, kapitanie... Od którego Robert Dargiel przebywa w Olsztynie?...

– Od pierwszego września.

Tak! To by się zgadzało. Przecież Bertrandt w swoim liście ustalił, że siódmego września przekaże wiadomość na skrzynkę kontaktową.

– Kapitanie, połączcie mnie przez „wucze” z Warszawą, numer wewnętrzny czterdzieści cztery osiemdziesiąt jeden – postanowiłem działać natychmiast.

Połączenie trwało najwyżej minutę.

– Halo! Czterdzieści cztery osiemdziesiąt jeden? – upewniłem się.

– Tak, słucham!

– Pułkownik Świętek?

– Przy aparacie!

– Mówi major Korczuk! Dzień dobry, pułkowniku! Ustaliłem skrzynkę kontaktową, na którą siódmego września Bertrandt przekaże informację. Jest tu obywatel szwedzki, brat Dargiela. Wyjeżdża z Polski dziesiątego września. Proszę o decyzję.

W słuchawce zapanowała cisza. Gdy już myślałem, że połączenie zostało przerwane, posłyszałem głos podpułkownika Świątka:

– Dzisiaj jest piąty września. Bertranda mamy pod opieką. Trzeba teraz zająć się drugą stroną. Nawiążcie łączność z zastępcą komendanta do spraw bezpieczeństwa. Niech wezmą pod lupę tego Dargiela. Ale natychmiast! Gdy będziemy znali skrzynkę kontaktową, a Dargiel weźmie informacje, wtedy ich zgarniemy. Jak z innymi?

– Emmy Strelki według oficjalnych danych nie powinno być w Polsce od czterdziestego ósmego roku.

– Ale jak już jest, to i nią się zajmiemy! – Podpułkownik roześmiał się. – To wszystko?

– Tak jest!

– Dopilnujcie więc tego, co wam poleciłem. Gdyby były jakieś kłopoty, telefonujcie na dyżurnego. On mi przekaże wiadomości!

– Dziękuję, zrozumiałem!

– To życzę szczęścia!

– Nawzajem!

Kapitan Bardan umożliwił mi połączenie z mieszkaniem zastępcy komendanta. Przedstawiłem się i wyjaśniłem przyczynę tego nagłego telefonu.

– Tak, majorze. Pułkownik Świątek uprzedził mnie o terminie i celu waszego przyjazdu. Proszę być spokojnym, zaraz wydam polecenie w sprawie obserwacji obywatela szwedzkiego Roberta Dargiela.

Odmeldowałem się, podziękowałem kapitanowi Bardanowi za pomoc i opuściłem budynek Komendy. Była godzina siedemnasta trzydzieści. Czułem, że rozpoczyna się ostatni rozdział sprawy.

ROZDZIAŁ XIV

Następnego dnia rano zostałem poinformowany, że obserwacja Roberta Dargiela została rozpoczęta. Telefonował też podpułkownik Świątek:

– Majorze! W Olsztynie mamy na razie spokój!

Jesteście potrzebni w Warszawie. Wyjeżdżajcie natychmiast i zgłoście się do mnie po dalsze zadania!

Do Warszawy wróciłem około południa. Kierowca zawiózł mnie do domu, gdzie umyłem się, odświeżyłem i zmieniłem koszulę. Dopiero wtedy zameldowałem się u podpułkownika Świątka.

– Jak nas poinformował Olsztyn, Dargiel porusza się po mieście własnym wozem. Przypuszczamy, że do skrzynki kontaktowej uda się również tym środkiem lokomocji. Do was będzie należało zatrzymanie go w drodze powrotnej. Jakiś pretekst znajdziecie, wicie przecież, jak to się robi. Z zatrzymanym pojedziecie do mieszkania jego brata i wraz ze służbą bezpieczeństwa z Olsztyna przeprowadzicie rewizję.

Ponieważ do akcji miałem wkroczyć dopiero jutro, udałem się do pokoju dowodzenia. Spotkałem tam Lisieckiego i majora Orlińskiego. Porozmawialiśmy trochę o sprawie, ale nie trwało to długo, gdyż obok w pokoju odezwała się radiostacja. Siedzący przy niej dyżurny przyjął meldunek od obserwatora Bertrand ta.

– Uwaga! Bertrandt opuszcza willę przy Promyka. Idzie w kierunku placu Komuny Paryskiej. Idę za nim. Podchodzi do skrzynki

pocztowej... Wrzuca list... List w niebieskiej kopercie... Idzie w stronę Krasińskiego... – operator dał znak koledze, siedzącemu za szybą.

– Tu centrala, tu centrala! – posłyszałem głos drugiego operatora. – Alarm dla „Brzozy”! Powtarzam: alarm dla „Brzozy”!

W głośniku zazgrzytało i rozległ się głos:

– Tu „Brzoza”, tu „Brzoza”! Słucham cię!

– Pobrać dokumenty upoważniające do współpracy z Dyrekcją Okręgu Pocht i Telegrafów. Wsiąść do wozu wybierającego pocztę ze skrzynki na placu Komuny Paryskiej. Czekać na nas na poczcie! Zrozumiałeś? Odbiór!

– Zrozumiałem! Przystępuję do wykonania!

Rozpoczęło się „wielkie polowanie”!

Tymczasem operator alarmował dalej:

– Tu centrala, tu centrala! „Sosna”, zgłoś się, „Sosna”, zgłoś się!

– Tu „Sosna”, tu „Sosna”! Czekam na dyspozycje!

– Pojedziesz z czterema ludźmi na pocztę. „Brzoza” przywiezie korespondencję. Przejrzeć adresy na kopertach. Uważać na Olsztyn lub nazwisko Dargiel. Jeśli nie znajdziecie, wynotować wszystkie, budzące nieufność...

Nawet nie zauważyłem, kiedy do pokoju wszedł podpułkownik Świątek i major Góralczyk. Sztab akcji był w komplecie. Operatorzy włączyli duże biurko dyspozytorskie, na którym rozblęły różnokolorowe lampki. Włączyliśmy głośnik. Ale na razie nie działo się nic ciekawego. Obserwator informował, że Bertrandt wrócił do domu i po chwili wyszedł na spacer z chłopcem lat około 12 i pięknym owczarkiem. Byliśmy podekscytowani. Dziś jest 6 września, jutro

ktoś powinien zgłosić się po odbiór informacji. Czy list wrzucony przez Bertranda do skrzynki pocztowej jest właśnie tą informacją, na którą czekamy? A może to tylko zwykły list? Może informacja zostanie przekazana w inny sposób? Może nie uda się nam jej przejąć? W sali było niebiesko od papierosowego dymu. Poczułem lekki ból głowy. Lisieckiego dla odmiany zaczęło męczyć pragnienie. Wypijał właśnie drugą butelkę wody mineralnej, przygotowanej na wypadek dłuższego posiedzenia, gdy rozległ się trzask w głośniku.

– Tu „Brzoza”, tu „Brzoza”! Jadę wozem łączności na plac Komuny. Wszystko w porządku! Odmeldowuję się!

– Dobry chłopak. Szybko się uwinął! – odezwał się podpułkownik Świątek.

Znów trzask. Zgłasza się „Sosna”:

– Jestem na miejscu w sortowni! Czekam na przesyłkę!

I znów „Brzoza”:

– Wybrałem listy. Wracam do sortowni!

Obserwator Bertranda:

– Spaceruje, rozmawia z chłopcem. Do niczego się nie zbliża. Nie zauważyłem podejrzanых ruchów.

Moment ciszy i po chwili:

– Tu „Sosna”, tu „Sosna”! Przejęliśmy przesyłkę od „Brzozy”. Przystępujemy do sprawdzania.

Sięgnąłem po butelkę wody mineralnej. Czułem, że z wrażenia zaschło mi w gardle. Czy się uda? Czy strzał będzie celny?

Podpułkownik Świątek spacerował nerwowo po pokoju. Major Orliński bezwiednie bębnił palcami w blat biurka, ale zobaczywszy karcący wzrok podpułkownika zreflektował się i cofnął rękę. Tylko

Lisiecki, jak gdyby nic, drobnymi łyczkami opróżniał już trzecią butelkę mineralnej!

– Tu „Sosna”, tu „Sosna”! Znaleźliśmy kopertę!

Adres: Robert Dargiel, Warszawa dwanaście, poste restante! Czy rozumieliście? Odbiór!

Podpułkownik Świątek chwycił mikrofon i spokojnym, opanowanym głosem wydawał dyspozycje:

– „Sosna”, dziękuję ci! Zrozumieliśmy! Wracaj do centrali! Pocztę przyspieszyć, by jutro była na Warszawie dwanaście!

Więc jednak list! Jeden klocek naszej mozaiki został ustawiony. Teraz należy czekać na wyjazd Dargiela z Olsztyna.

Tymczasem podpułkownik Świątek przekazywał dalsze polecenia:

– Tu centrala! „Wierzbą”, od jutra rana na poczcie Warszawa dwanaście ma być obserwator. Jeszcze dziś przeprowadzisz sygnalizację od okienka „poste restante” do pokoju obserwatora. Upредить kierowniczkę, porozmawiać z urzędniczką. Podać jej nazwisko odbiorcy, poinstruować, jak ma postąpić, by obserwacja go przechwyciła.

Podpułkownik odłożył mikrofon i głęboko odetchnął.

– Towarzysze! Proszę o pełną gotowość! Wkroczyliśmy w końcowy etap akcji. Jedno małe niedopatrzienie i wszystko może rozsypać się w gruzy... Na dziś dziękuję wam. Nic ciekawego już się nie zdarzy. Przypominam, abyście byli jednak w zasięgu telefonów.

I znów trzask głośnika:

– Woła Olsztyn, woła Olsztyn!

– Tu centrala! Słucham!

– Interesujący was człowiek wyjechał w kierunku Warszawy o szesnastej. Jedzie sam!

– Dziękuję! Prowadźcie, obserwację! – Podpułkownik zwrócił się do nas: – Jak widzicie, akcja przebiega zgodnie z planem. Jeden nawet pcha się do nas wcześniej, niż przewidywaliśmy.

Następnego dnia, siódmego września, w urzędzie pocztowym Warszawa 12 rozpoczął obserwację nasz człowiek. Na stoliku, przy którym siedział, znajdował się mały brzęczyk, podłączony do biurka urzędniczki z okienka „poste restante”. Panienka była trochę podniecona i przejęta swoją rolą. Gdy funkcjonariusz instruował ją, jak ma postąpić w przypadku zgłoszenia się Dargiela, powtarzała wskazówki drżącym głosem:

– Robert Dargiel... Nacisnąć przycisk pod pulpitem. Powoli szukać listu. Udawać, że się gdzieś zawieruszył. List wydać... i to wszystko – zakończyła z westchnieniem ulgi.

Mijały godziny. Dargiel nie opuszczał swego pokoju w hotelu „Metropol”, w którym się zatrzymał wczoraj wieczorem. O 11.32 trzask w głośniku na stanowisku dowodzenia:

– Osobnik opuścił hotel. Wsiada do wozu. Odjeżdża. Skręca w Marszałkowską. Jedzie w kierunku Mokotowa. Przekazuję obserwację koledze z wozu.

– Tu X27, tu X27. Przejęliśmy obserwację. Jedziemy za volvo. Dojeżdżamy do Riviery.

Podpułkownik Świątek wziął do ręki mikrofon:

– Tu centrala, tu centrala! „Wierzba” zgłoś się!

– Tu „Wierzba”, zgłaszam się!

– Za dziesięć, piętnaście minut będziesz miał wizytę na poczcie.

Jesteś gotowy?

- Tak, jestem gotowy!
- Wszystko w porządku?
- Tak jest! W porządku!
- Dziękuję!

Podpułkownik Świątek zwrócił się do mnie:

– Towarzyszu majorze! Patrole milicyjne na trasie do Olsztyna postawione w stan gotowości?

– Tak jest! Polecenie wykonałem jeszcze wczoraj wieczorem! Kopię telegramu mam w swojej teczce.

– To dobrze! Czekajmy więc dalej. A wy, majorze, do wozu i za Dargielem. Od tej chwili kierujecie akcją przejścia listu. Życzę szczęścia! – Podpułkownik uściśnął mi rękę.

Dalszy rozwój akcji postępował zgodnie z naszymi przewidywaniami. Dargiel odebrał list, schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki, wsiadł do swego voïvo i skręcił w Aleje Niepodległości. Poczekał chwilę na skrzyżowaniu z Rakowiecką. Volvo przeleciał jak strzała. Za nim gnał wóz z trzema wywiadowcami. Ruszyliśmy i my, trzymając się w pewnej odległości. Dargiel wracał do Olsztyna... W okolicy Legionowa sprawdziłem łączność radiową z najbliższymi patrolami. Działała bez zarzutu. Zdecydowałem się na podjęcie akcji na terenie Komendy Powiatowej Olsztynek. Może dlatego, że znałem kilka efektownych spraw ładnie rozwiązanych przez ich funkcjonariuszy. Nawiązałem łączność z patrolem ruchu drogowego.

– Tu „Wisła”, tu „Wisła”! „Narew”, zgłoś się! Po krótkiej chwili usłyszałem głos:

– Tu „Narew”, tu „Narew”! Zgłaszam się. Odbiór!
– Zatrzymać zielone volvo o podanym wcześniej numerze! Nie dopuścić do zniszczenia niebieskiej koperty z wewnętrznej kieszeni marynarki! Zrozumieliście? Odbiór!

– Zrozumiałem! Przystępuję do wykonania!
– Życzę szczęścia! Za volvo jadą nasi ludzie. Oni zrewidują kierowcę! Zaczekajcie na nas!

Zwróciłem się do kierowcy:

– No to gazu, chłopie! Tylko bądź przygotowany na najgorsze!
Kierowca spojrzął na mnie kątem oka.

– Towarzyszu majorze! Dla mnie to nie pierwszozna!

Pędziliśmy z prędkością 100 km na godzinę. Po kilkunastu minutach wyskoczyliśmy zza zakrętu i zobaczyłem zielone volvo, a przed nim milicijną warszawę. Z boku stało dwóch umundurowanych funkcjonariuszy milicji, którzy pilnowali cywila. Był to prawdopodobnie Dargiel. Ale gdzie fiat z wywiadowcami służby bezpieczeństwa? Zatrzymaliśmy się za volvo i wtedy zobaczyłem... Fiat leżał w rowie. Jeden z milicjantów pomagał wydostać się przez okno pasażerom przewróconego wozu.

– Czy potrzebne karetki? – zawałałem w ich kierunku.
– W porządku! Sami damy sobie radę! Kapral nam pomoże założyć opatrunki! – odkrzyknął jeden z wywiadowców.

Podszedłem do funkcjonariuszy pilnujących cywila.

– Macie kopertę? – spytałem z niepokojem.

– Mamy! – padła odpowiedź.

– Był uzbrojony?

– Nie! Ale stawiał opór!

Dopiero teraz wylegitymowałem się dowódcy patrolu.

Był to młody, dobrze prezentujący się plutonowy. Przywitałem się z drugim milicjantem.

– Dawno w patrolu?

– Dopiero półtora roku. Po szkole ruchu drogowego w Iwicznej.

– Zarobiliście na premię! Zamelduję o tym w sztabie akcji! A teraz opowiedzcie, co tu się działo?

– W gruncie rzeczy nic wielkiego, ale baliśmy się trochę, że akcja się nie powiedzie. Kiedy volvo wynurzył się zza zakrętu, daliśmy znak „lizakiem” do zjechania na pobocze... Ale kierowca widać podejrzewał, że to nie jest przypadek. Dał gwałtownie do tyłu... Wtedy zza zakrętu wyskoczył fiat... Chcąc uniknąć zderzenia z volvo, skręcił błyskawicznie w lewo... I rąbnął do rowu! Przekoziółkował... Kazałem jednemu z patrolu pomóc ofiarom wypadku, a sami rzuciliśmy się do volvo. I to wszystko... – Plutonowy zakończył z westchnieniem ulgi.

– Załóżcie kajdanki zatrzymanemu. Niech jeden zostanie z nim w samochodzie. My zajmiemy się rannymi – poleciłem.

W tym czasie milicjant z moim kierowcą opatrzyli kolegów ze Służby Bezpieczeństwa. Na szczęście wypadek tylko wyglądał groźnie. Trzej pasażerowie fiata byli jedynie lekko poturbowani i podrapani. Starając się ukryć zdenerwowanie, żartowali z siebie i śmiali się głośno. Odebrałem od plutonowego kopertę adresowaną do Dargiela i schowałem ją do kieszeni.

– Wsiadać do wozu! – zwróciłem się ostro do zatrzymanego. – Na tylne siedzenie! Kolego plutonowy, siądziecie za kierownicą. Jeden z was obok Dargiela.

Reszta poczeka na pomoc z Komendy. – Siadłem na miejscu

obok kierowcy. Tak dojechaliśmy do Komendy Wojewódzkiej w Olsztynie. Tu zwolniłem załogę radiowozu, a sam z kilkoma funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa oraz Dargielem pojechaliśmy do mieszkania jego brata, Krzysztofa. Drzwi otworzył właściciel. Zaskoczony widokiem tylu osób i brata w kajdankach, zdołał tylko wykrztusić:

– Robercie, coś ty narobił?

– Proszę nas prowadzić do pokoju zajmowanego przez brata.

Ale szybko! – rozkazał jeden z funkcjonariuszy. Reszta rozbiegła się po pokojach i zakamarkach mieszkania.

Weszliśmy do pokoju zajmowanego przez Roberta i natychmiast przystąpiliśmy do przeszukania mieszkania. Po kilku minutach w szufladce biurka znalazłem notes z kilkoma adresami. Jeden z nich zainteresował mnie szczególnie. Jan Nepala, Świnoujście. Świnoujście? Prom do Szwecji... Ze Świnoujścia przy dobrej pogodzie widać wyspę Bornholm... Poleciałem dowódcy akcji, aby połączył się z Komendą. Należało zatrzymać Jana Nepale.

Tymczasem szukaliśmy dalej. Minęły trzy godziny i nic ciekawego. U Krzysztofa Dargiela znaleziono książeczki czekowe, w których co pewien czas figurowało nazwisko Nepali.

– Za co płacicie Nepali? – spytałem gospodarza.

– Nie wiem! Ja nic nie wiem! Wykonywałem jedynie polecenia mego brata. – Krzysztof Dargiel był roztrzęsiony. – O Boże! Taka hańba! I to rodzony brat!

Dałem spokój zdenerwowanemu mężczyźnie. On chyba naprawdę nic nie wiedział. Był tylko narzędziem w ręku brata.

– Słuchajcie, Dargiel – zwróciłem się do Roberta – widzicie wstyd i rozpacz brata, człowieka uczciwego i solidnego. Czyście pomyśleli o nim, gdy wciągaliście go w swoje brudne sprawy? Czym kierowaliście się, przystępując do pracy szpiegowskiej? Jesteście znanym naukowcem w Niemczech, człowiekiem finansowo niezależnym, a i polskie pochodzenie zobowiązuje.

Robert Dargiel milczał.

– Mamy dowody waszej działalności. Nie unikniecie kary... Szczere przyznanie się do winy byłoby okolicznością łagodzącą. Zresztą jesteście dłużni bratu pewne wyjaśnienia. Nadużyliście jego zaufania i gościnności.

Robert zwrócił się do Krzysztofa:

– Pamiętasz matkę? Mimo że żyła w Polsce, zawsze pozostała Niemką. Miała duży wpływ na mnie. Za jej namową wyjechałem na studia do Niemiec. Tam uczyłem się nienawiści do wszystkiego co polskie. Obserwowałem hitlerowców demonstrujących swoją siłę. Parady, werble, ryk tłumu, któremu obiecywano panowanie nad światem, mogły zawrócić w głowie każdemu, nie tylko mnie, młodemu studentowi. Mundur SS dodawał pewności siebie, zapewniał bezkarność, no i materialne korzyści. Wstąpiłem do szkoły Sicherheitsdienst, w której przygotowywano słuchaczy do pracy dywersyjnej i szpiegowskiej. Tam nauczyłem się ślepego posłuszeństwa, cynizmu i okrucieństwa. Nienawidzę Polaków. Żałuję tylko tego, że tak głupio dałem się złapać. I żał mi ciebie, Krzysztofie.

Poszukiwania dobiegły końca. Przeprosiliśmy gospodarza za

pozostawiony bałagan i wróciliśmy do Komendy.

– Co z tym Nepałą ze Świnoujścia? – spytałem zastępcę komendanta.

– Jeszcze nic nie wiemy. Trzeba poczekać. – Rozłożył bezradnie ręce.

– Będę szykował się do powrotu. – Podniosłem się z krzesła. Jednocześnie poczułem palenie w piersiach. Znow ból. – Dargiela proszę przekazać do dyspozycji pułkownika Świątka. Tam też proszę kierować wiadomości o Nepali. Dziękuję za pomoc i życzę owocnej pracy!

Już miałem opuścić gabinet, gdy zadzwieczał dzwonek telefonu.

– Halo! Świnoujście! Słucham! – zastępca przywołał mnie ruchem ręki. Wróciłem do biurka.

– Tak, słucham! Już notuję: Jan Nepała. Członek spółdzielni rybackiej „Fala”. Zatrzymany do naszej dyspozycji. Podejrzany o przemyt ludzi i towarów do Szwecji? To ładnie! To nam pasuje... Przyznał się? Świetnie! Zna Dargiela? To jeszcze lepiej! Za co mu płacił? Tak, tak! Słucham, słucham!... Miał przemyścić do Szwecji jakąś kobietę? Nie! Koledzy, jesteście wspaniali! To nam zupełnie wystarczy! Dziękuję! Nepali strzec jak oka w głowie! Zgłosi się po niego Warszawa! Cześć! – Zastępca komendanta odłożył słuchawkę na widełki aparatu.

– Słyszeliście, towarzyszu majorze? – zwrócił się do mnie. – Chyba lepszego prezentu nie mogli nam zrobić.

ROZDZIAŁ XV

Natychmiast po powrocie do Warszawy zameldowałem się u podpułkownika Świątka.

– Świetnie się spisaliście, towarzyszu majorze! Znamy już całą trasę przerzutu informacji. Matuszczak i Strelka zbierali informacje, Bertrandt je zaszyfrowywał i przysyłał Dargielowi, który sam przetrzucał je dalej. Mógł też korzystać z pomocy Nepali. Za otrzymane informacje płacił Dargiel, wykorzystując nieświadomość swego brata! Nie jestem tylko pewien, czy to cała siatka, czy tylko jej część. Nasi obserwatorzy nie zauważyli innych osób kontaktujących się z tą czwórka. A w tej chwili dalsza obserwacja byłaby niewskazana. Aresztowaliśmy przecież Dargiela. Nie możemy wykluczyć, że po powrocie do Olsztyna miał on dać znać Bertrandtowi, że wszystko w porządku. Jeśli tego nie uczyni, nasi „podopieczni” wpadną w popłoch. Nie możemy dłużej czekać. Przystąpimy dziś, najpóźniej jutro do akcji warszawskiej. Aha! Ten list! Proszę przekazać go ekspertom. Na razie odpocznijcie sobie, majorze! Jeśli macie chęć, możecie zostać z nami – podpułkownik Świątek roześmiał się głośno.

– A gdzie jest porucznik Lisiecki, jeśli można wiedzieć? – spytałem, gdyż odczuwałem brak tego chłopca.

– Niestety, nie ma go tu. Wraz z naszym oficerem likwiduje melinę na Poznańskiej... Myślicie, towarzyszu majorze, że wy walczyliście w Olsztynie, a my siedzieliśmy sobie spokojnie? – zakończył jowialnym tonem.

– Ależ skądże! Wcałe tak nie myślałem! Nawet sądziłem, że

nie zdążę na finał. – Udzielił mi się dobry humor podpułkownika.

Wycofałem się do sali odpoczynku, by nie przeszkadzać w do-
wodzeniu akcją. Obok mnie usiadł jeden z dyspozytorów. Skorzystał
z tego, że biurko dyspozytorskie milczało, i przyszedł trochę odsap-
nąć. Wyciągnął w moją stronę rękę z paczką papierosów. Był to
sympatyczny, młody człowiek, w randze kapitana.

– Dziękuję bardzo, nie palę! – podziękowałem z uśmiechem. –
Pierwszy i ostatni raz zapaliłem mając osiem lat! – Widząc zdziwio-
ne spojrzenie sąsiada, dodałem: – Koledzy poczęstowali mnie wtedy
jakimś petem. Zaciągnąłem się, zakaszlałem, oczy wyszły mi z or-
bit... I wtedy dałem sobie święte słowo honoru, że tego świństwa
więcej do ust nie wezmę.

– To mądrze! – Mój rozmówca powiedział to zupełnie poważ-
nie. – Jaka szkoda, że ja zacząłem trochę później. Wtedy ambicja nie
pozwoliła mi rzucić papierosa. I tak zostało.

– Słyszałem, że pracownicy Służby Bezpieczeństwa mają że-
lazne nerwy. Nie uważacie chyba papierosów za środek uspokajają-
cy?

– Nikt nie rodzi się bohaterem... Każdy z nas odczuwa lęk
przed niebezpieczeństwem... Gdyby go nie odczuwał, świadczyłoby
to o pewnym odchyleniu od normy. Funkcjonariusz „odważniak” to
nieszczęście w naszej służbie. My nie możemy dać się ponieść kow-
bojskiej fantazji. Pracownik działający rozważnie, umiejący przewi-
dzieć reakcję przeciwnika, wyobrazić sobie następstwa swego czynu,
a w przypadku zbyt wielkiego ryzyka wycofać się, to człowiek, któ-
remu można ufać. Nasza odwaga to jedynie umiejętność opanowania

lęku. – Kapitan zamyślił się. – Okropna jest samotność człowieka pozostawionego samemu sobie, zdanego wyłącznie na własną spozstrzegawczość, doświadczenie, inteligencję. Działając w zespole ma się tę świadomość, że w pobliżu jest ktoś, na kogo można liczyć w niebezpieczeństwie. Zespół złożony nawet z dwóch osób pracuje rozważniej, bardziej zdecydowanie, bardziej efektywnie. Funkcjonariusz działający w pojedynkę podlega tym samym stresom, co przeciętny normalny człowiek. A lęk to rzecz ludzka. Narasta powoli lub objawi się nagle. W jednej sekundzie. Sparaliżuje ruchy, myśli, uniemożliwi działanie. To bardzo niebezpieczny moment, trudny do przewyciężenia.

– Mamy przecież wielu rozważnych ludzi, niestety, nie można wszystkiego przewidzieć – wtrąciłem.

– Jak by to było dobrze, gdyby na świecie nie było przestępców! – Kapitan rozmarzył się. – Nie musielibyśmy siedzieć w tej zadymionej sali, moglibyśmy iść przez park, oglądać się za dziewczynami... Wiecie, majorze – mówił cichym głosem – zauważyłem, że ludzie zupełnie nie zwracają uwagi na uroki natury. Pędzą obojętnie, nie dostrzegając piękna, które ich otacza. A my? My cieszymy się z każdej wolnej chwili odpoczynku i stajemy się coraz bardziej sentymentalni.

– O, tak. To jest prawidłowość. Chyba dlatego w naszym resorcie można spotkać wielu kolegów, którzy starają się uciec od codziennych trudów w swój własny, stworzony przez siebie, intymny świat... Piszą wiersze, opowiadania. I nie ma znaczenia fakt, że ich

utwory nie zostaną nigdy opublikowane. To są ich skarby, które chronią ich przed cynizmem i zubożeniem.

– Jednym słowem: romantycy naszego wieku. – Kapitan roześmiał się. – Odrobina romantyzmu sprawia, że człowiek czuje się lepszym, piękniejszym, bardziej ludzkim.

Usiadłem wygodniej w fotelu.

– Powiedzieliście przed chwilą, że byłoby dobrze, gdyby na świecie nie było przestępców. Ja, gdy byłem młody, wierzyłem, że uda nam się to osiągnąć. Tymczasem...

– Towarzyszu majorze! Jak tak można. – Kapitan mówił to ze sztuczną powagą. – Proszę pomyśleć, co by się stało z nami? Co byśmy robili?

Roześmieliśmy się serdecznie. Śmiech nasz nie przebrzmiał jeszcze, gdy rozterkotały się dzwonki. Telefony i rozmowy stawały się coraz częstsze. Mój rozmówca przeprosił mnie i przeszedł do stanowiska dyspozytora. Odgłosy rozmów, zrazu spokojnych, później bardziej nerwowych, docierały do mnie jak przez mgłę. W pewnym momencie nadszedł meldunek, który wszystkich postawił na nogi.

– Strelka opuszcza willę w Wesołej. Jedzie do Warszawy!

Z następnych meldunków wyłaniał się jasny i logiczny obraz akcji. Strelka przyjechała do Warszawy i wysiadła na Dworcu Śródmieście. Idąc w kierunku Poznańskiej zrobiła trochę zakupów. Jakieś owoce, słodycze. Weszła do mieszkania inżyniera Kuliga przy Poznańskiej. Nie minęło pół godziny, gdy z mieszkania wyszedł Bertrandt. Cekał prawdopodobnie dość długo na Strelkę, bo obstawa, która zablokowała dom przy Poznańskiej, nie widziała go wchodzącego.

Bertrandt wszedł do taksówki i pojechał do swej willi przy Promyka. Długo z niej nie wychodził. Obserwator czekający w pobliżu willi tracił stopniowo cierpliwość. W końcu Bertrandt wyszedł. Prowadził na smyczy psa. Doszedł do ulicy Mickiewicza, tu zatrzymał taksówkę i pojechał na Poznańską. Był to najlepszy moment do przeprowadzenia akcji! Strelka i Bertrandt są razem! Podpułkownik Świątek przekazał drogą radiową rozkaz:

– Zarządzam akcją „Kleszcze”, według planu „List”!

Plan „List” polegał na tym, że do mieszkania Kuliga miał zapukać listonosz z listem poleconym. W chwili gdy drzwi zostaną otwarte, funkcjonariusze pozostający w ukryciu mieli wkroczyć do mieszkania i obezwładnić Strelkę oraz Bertrandta. Chodziło o to, aby nie dopuścić do jakiegokolwiek akcji z ich strony.

Zaczęło się. „Listonosz” wszedł spokojnym krokiem na podwórze. Pozostali członkowie akcji zeszli w tym czasie z górnych pięter i opuścili sąsiednie mieszkanie. „Listonosz” zapukał do drzwi. Był to najbardziej dramatyczny moment. Otworzą czy też nie? Denerwująca cisza przeciągała się. Funkcjonariuszom, choć nie pierwszy raz brali udział w podobnej akcji, pociły się ręce. Wreszcie zza drzwi padło pytanie:

– Kto tam?

– Poczta. List polecony!

Szczęknęły zamki. Drzwi zaczęły się powoli uchylać. „Listonosz” rzucił się do przodu, za nim biegli następni. Dwaj mężczyźni trzymali już Strelkę za ręce, inni wpadli do pokoju... I tu konsternacja!

Bertrandta nie było. Jedynie pies stał na środku pokoju i szczerzył ostrzegawczo kły. Funkcjonariusze wprowadzają Strelkę. Wtedy pies ze wściekłym skowytom rzuca się na jednego z nich. Chwyta zębami za przegub dłoni. Funkcjonariusz krzyczy z bólu. Wąska strużka krwi ścieka na podłogę. Stojący obok kolega wyciąga z kieszeni ręczny miotacz gazowy i puszcza strumień gazu prosto w ślepią rozwścieczonego zwierzaka. Pies puszcza rękę funkcjonariusza i z przejmującym wyciem ucieka w kąt pokoju. Pada na ziemię... Nieruchomieje... Z jego pyska wydobywa się żafosne skomlenie. Jeden z funkcjonariuszy nachyla się nad zwierzęciem. Uwagę jego zwraca ciekawa obroza... Ze skóry, dosyć szeroka i gruba. Odpinają. Na wewnętrznej stronie znajduje się zamek błyskawiczny, po odsunięciu którego widać porządnie poukładane akcesoria szpiegowskie: długopis z atramentem sympatycznym, szyfr, tablica do rozkodowania, mały aparacik fotograficzny.

Strelka jest zdenerwowana, usiłuje wyrwać się trzymającym ją za obie ręce mężczyznom. Szarpie się raz, drugi... Ale chłopcy trzymają mocno. Jeszcze jeden gwałtowny ruch i głowa kobiety uderza o ramię funkcjonariusza. Na podłogę spadła peruka... Chwila osłupienia. Przecież to jest Bertrandt! Szczęknięły kajdanki. Zaczęło się systematyczne przeglądanie mieszkania. W szafie obok męskich ubrań Bertrandta wiszą suknie i garderoba damska. A więc Bertrandt i Strelka to jedna i ta sama osoba.

ROZDZIAŁ XVI

Tak więc mieliśmy wszystkich podejrzanych, a właściwie to o jedną osobę mniej, gdyż Strelka okazała się postacią fikcyjną. Matuszczaka przywieziono do naszej dyspozycji w godzinę po zatrzymaniu Bertrand ta.

Podpułkownik Świątek wydał dyspozycje, dotyczące przesłuchiwania zatrzymanych. Major Orliński miał zająć się Robertem Dargielem, majorowi Góralczykowi przypadł w udziale Bertrandt vel Strelka, mnie zaś dano Matuszczaka, ze względu na podejrzenie o kradzież wartościowej książki z domu Szerynga. Matuszczak okazał się zwykłym pionkiem w siatce szpiegowskiej. Był to drobny aferzysta, któremu w życiu przyświecał jeden cel – pieniądze.

– W waszych dokumentach podano, że macie za sobą trzy lata studiów uniwersyteckich. Czy to prawda?

– Tak, prawda!

– Przerwaliście studia z własnej woli, czy były jakieś inne powody uniemożliwiające ich kontynuowanie?

– Przerwałem z własnej woli. Studia nic by mi nie dały. Co z tego, że miałbym dyplom? Harować za trzy tysiące miesięcznie to dobre dla frajerów... Ja potrzebuję znacznie więcej.

– Jednak państwo wydało na twoją naukę poważne sumy. Nie poczuwasz się do żadnych obowiązków względem państwa?

– Nie mam wyrzutów sumienia... Muszę mieć własną wilę i samochód, chcę prowadzić życie światowca.

– Znałeś Szerynga?

- Znałem.
- Byłeś u niego dwudziestego czwartego sierpnia?
- Może i byłem.
- Co cię z nim łączyło?
- Nic ciekawego... Proponowałem mu dodatkowy zarobek, ale on odrzucał moje propozycje.
- Dwudziestego czwartego sierpnia Szeryng został zamordowany. Byłeś tego dnia u niego?
- Może i byłem... Często przynosiłem mu zagraniczne drobiazgi: żyletki, krem do golenia...
- Wiesz, że to jest sprzeczne z prawem?
- Przecież ja towaru nie przemycam przez granicę. Jedyne pośredniczę w sprzedaży... Nie pytam, skąd ten towar pochodzi.
- Wiem również, że w okresie letnim handlujesz lodami. Matuszczak nie odpowiedział.
- Jak obliczyliśmy, dochód z tej sprzedaży daje ci dość sporą sumkę!
- Chłopak milczał. – Pracujesz jako goniec, sprzedajesz lody, pośredniczysz w handlu nielegalnym. Czy to uczciwe?
- Ja nie jestem pasożytem. Nie żeruję na społeczeństwie, nie przechwytyuję dochodu narodowego. W biurze pracuję uczciwie... Co robię po południu, to moja sprawa... Obracam towarem prywatnym, nie państwowym. Nie kradzionym.
- Nie kradzionym, powiadasz? A stara księga Szerynga?
- Matuszczak uśmiechnął się.
- Tak! Wiedziałem, że tu wpadnę. Szeryng niepotrzebnie chwalił się tą książką w pracy... Pośredniczyłem w sprzedaży. Miałem

mu doręczyć pieniądze, ale gdy dowiedziałem się, że go zabili...

– Kto go zabił?!

Matuszczak drgnął:

– Nie wiem...

– To co było, gdy się dowiedziałeś o zamordowaniu Szerynga?

– Wziąłem całą forszę dla siebie.

– Znasz człowieka o nazwisku Bertrandt?

– Nie! Nie znam.

– A kobietę o nazwisku Strelka?

– Znam.

– Od dawna znasz Strelkę?

– Może dwa lata, może półtora roku...

– Jak ją poznałeś?

– Podszedłem do niej w kawiarni... zaproponowałem kupno ciuchów. Zaczęła ze mną rozmawiać. Zaproponowała następne spotkanie. Wtedy zobaczyłem u niej kupę forsy... Pomyślałem, że dobrze będzie się jej trzymać... Pewnego razu zapytała, czy mogę dostarczyć jej pewnych informacji.

– Nie domyślałeś się, po co jej to potrzebne?

– Domyślałem się, że chodzi o szpiegostwo. Zaimponowało mi to nawet. Przepytywałem tu i ówdzie o różne rzeczy... Rozmawiałem z kolegami służącymi w wojsku... – Matuszczak machnął ręką z wyraźną rezygnacją. – Chciałem się dorobić... Ale po diabła pchałem się do szpiegostwa? Nie wystarczyły mi uczciwe handelki? Szeryng miał rację... Chciał się wycofać!

– Więc Szeryng był szpiegiem?

– Właściwie to nie... Zwerbowali go do tej roboty podczas pobytu w NRF, u tej jego rodzinki... Ale po powrocie do kraju on

zaczął się migać. Nie chciał dostarczać wiadomości. Dlatego go sprzątnęli.

– Kto?

– Nie wiem! Ja przy tym nie byłem!

– Skąd masz tyle informacji o Szeryngu? Czy przekazała ci je Strelka? Wiesz, że ktoś go śledził. Kto? Może ty? Kogoś się bał. Kogo? Strelki?... Wiedziałeś, że Szeryng chce wycofać się z afery za wszelką cenę. Powiedziałeś o tym Strelce. Za tę informację otrzymałeś wynagrodzenie.

– Panie majorze, może jestem złodziejem! Zgoda! Zdaję sobie sprawę, że popełniłem przestępstwo... Ale jest jeszcze we mnie odrobina honoru, która nie pozwoliłaby mi sypnąć kolegi, chcącego wyrwać się z bagna, w które ja wszedłem. Ja go nie zdradziłem. To Strelka albo ktoś inny, z kim się kontaktowałem...

– Z kim?

– Nie wiem, panie majorze. Naprawdę nie wiem. Ja miałem tylko kontakt z Szeryngiem i Strelką... Szeryng mówił mi, że się boi... że mu grożą... Ale kto? Nie wiem...

Nie dowiem się już niczego więcej od tego człowieka. Jedno jest pewne. To nie on zabił. Tacy drobni aferzyści nie decydują się na mokrą robotę. Zdałem podpułkownikowi Świątkowi krótką relację z przesłuchania. Pełny tekst otrzyma zaraz po przepisaniu na maszynie.

W kilkanaście minut później podpułkownik Świątek poprosił mnie do swego gabinetu.

– Towarzyszu majorze! Ponieważ dzięki wam rozszyfrowaliśmy siatkę szpiegowską, chciałbym, żebyśmy wspólnie doprowadzili tę sprawę do końca.

Skinąłem głową w geście podziękowania.

– Oto trzy przesłuchania: Bertrandta, Dargiela i Matuszczaka. Przeczytajcie je i zreferujcie mi wasze wątpliwości oraz uwagi, które się podczas analizy tekstów nasuną. Gdyby były jakieś niejasności, magnetofon z taśmami z przesłuchań jest u oficera operacyjnego...

Wziąłem maszynopis i poszedłem do pokoju służbowego. Z uwagą przeczytałem dostarczone mi materiały. Nie było w nich żadnych rewelacji. Po dwóch godzinach znalazłem się „znów u podpułkownika Świątka.

– Zeznania nie wnoszą nic nowego do sprawy, potwierdzają jedynie to, czego dowiedzieliśmy się wcześniej. Po pierwsze Dargiel. Przyznał się do współpracy z wywiadem zachodniemieckim, potwierdził kontakty szpiegowskie z Bertrandtem, z którym współpracował od sześćdziesiątego ósmego roku, oraz z Nepalą, którego namówił do współpracy w roku siedemdziesiątym. Z tym że Nepala nie zbierał informacji. Jego zadanie polegało na organizowaniu przerzutu szpiegów i materiałów szpiegowskich. Brat Dargiela, Krzysztof, nic nie wiedział o działalności Roberta. Dargiel stwierdził, że kontaktował się tylko z Bertrandtem. Ilu informatorów miał Bertrandt, tego nie wie... Albo nie chce powiedzieć. Moim zdaniem, raczej nie wie. On tylko płacił za wykonaną robotę. – Spojrzałem na podpułkownika Świątka i widząc jego aprobujące kiwnięcie głową ciągnąłem dalej. – Sprawa morderstwa Szerynga. W dniu, w którym go zabito, Dargiela nie było w Polsce. Zresztą nawet gdyby był, nie dokonałby morderstwa. Za duże ryzyko... On wolałby za tę usługę zapłacić... Ten drugi: Bertrandt jest zdecydowanym wrogiem

naszego kraju i ustroju. Z jego wypowiedzi wynika, że już przed rokiem trzydziestym dziewiątym był wrogiem Polski i Polaków. Nie ulega wątpliwości, że w czasie wojny pracował w wywiadzie. Po wojnie skierowany do Polski z zadaniem zorganizowania siatki szpiegowskiej. Dokumenty na nazwisko Emmy Strelki otrzymał od swoich mocodawców, którzy zaakceptowali jego propozycję występowania w przebraniu kobiecym. Roberta Dargiela nie znał osobiście. Otrzymywał instrukcje od swoich szefów. Czy to on zabił Szerynga? Nie przyznaje się do tego. Jednak pomyślmy: jeśli nie on, to Matuszczak. Ale Matuszczak to mięczak, drobny aferzysta. Nie pasuje mi na mordercę... Więc Bertrandt. Jest to osobnik agresywny, twardy, zdolny do morderstwa. Ale jak tego dowieść? Gdybyśmy wiedzieli, do kogo należał pistolet...

– Dziś chłopcy przeprowadzają rewizję w willi Bertrandta przy ulicy Promyka i w Wesolej. Miejmy nadzieję, że coś znajdą – wtrącił podpułkownik Świątek.

– Oby! – westchnąłem i przystąpiłem do omawiania zeznań Matuszczaka. – Drobną płotka, goniąca za pieniądzem. Dostarczał informacji Strelce, nie domyślając się nawet, że to przebrany mężczyzna. Poza tym Matuszczak to zwykły złodziej. Wykorzystując morderstwo Szerynga, przywłaszczył sobie całą kwotę uzyskaną ze sprzedaży cennej książki.

– Muszę się przyznać, majorze, że nie lubię takich prostych spraw – odezwał się pułkownik Świątek, widząc, że odkładam protokoły na bok. – Żadnych rewelacji, żadnych dodatkowych sukcesów. Nie wiemy nawet, czy rozszyfrowaliśmy całą siatkę.

– Obawiam się, że nie... Sądzę, że wymknęły się z sieci jakieś drobne rybki.

– Ja też tak przypuszczam... Obca waluta, dobre wyposażenie techniczne i tylko jeden informator: Matuszczak. – W głosie podpułkownika brzmiało rozgoryczenie.

– Gdyby nie termin odebrania informacji przez Dargiela, moglibyśmy jeszcze obserwować naszych podopiecznych. Może złapałobyśmy pozostałych... A tak – wzruszyłem ramionami.

– Miejmy nadzieję, że to niewielka strata... Może ci, co zostali, myśleli tak jak Szeryng... Tylko brak im było jego odwagi... Może teraz, pozbawieni mocodawców, wrócą z westchnieniem ulgi do normalnej pracy, a w przyszłości nie będą pochopnie nawiązywali znajomości... Szczególnie podczas pobytu w NRF... Nam nie chodzi o to, by karać... Może właśnie to, że pozostawiliśmy ich w spokoju, wpłynie na zmianę ich postawy, na dalsze postępowanie...

– Kto wie, pułkowniku! Ile ludzi, tyle charakterów! W każdym razie nie mamy powodów do załamывania rąk. Gdy się przetnie aortę, serce przestaje bić... A my mamy Dargiela i Bertrandta...

Naszą rozmowę przerwał dzwonek telefonu. Zgłaszał się major Orliński, dowódca grupy operacyjnej przeprowadzającej poszukiwania w willi w Wesolej.

– Proszę przyjść i zreferować wyniki! Czekam na nie z niecierpliwością! – Podpułkownik Świątek powiedział to głosem z lekka podnieconym, po czym odłożył mikrotelefon i zwrócił się do mnie:

– Może Orliński przyniesie nam odpowiedź na pytanie, kto zabił?

Nie czekaliśmy długo. Po chwili do gabinetu wszedł major i widząc zniecierpliwienie malujące się na twarzy przełożonego przystąpił natychmiast do relacji.

– W pomieszczeniach willi nie znaleźliśmy nic, co mogłoby świadczyć o szpiegowskiej działalności jego mieszkańców. W szafach odzież damska. Sąsiedzi powiedzieli, że w willi mieszkała kobieta. Jeszcze trwały przeszukiwania domu, kiedy dwaj funkcjonariusze udali się do stojącej obok domu komórki. Była ona wypełniona drzewem, narzędziami i różnymi rupieciami. Nasi funkcjonariusze odgarnęli część drewna i zwrócili wtedy uwagę na dosyć masywne fundamenty. Badając tę budowlę bardziej szczegółowo, zauważyli klomb ciągnący się między willą a komórką. Kwiaty, rośliny i trawa rosły na tym klombie bujniej, lepiej i piękniej niż w otaczającym domek ogródka. Zaczęli nakłuwać ziemię i natrafili na twardy pokład. Okazało się, że była to betonowa płyta. Określiliśmy dokładnie miejsce styku płyty z willą i rozpoczęliśmy jeszcze raz przeszukiwanie pokoju. Odsunęliśmy stolik i fotele, zdjęliśmy dywan. W miejscu, do którego dotykała betonowa płyta, parkiet dawał odgłos, nasuwający przypuszczenie, że pod nim znajduje się pusta przestrzeń. Ponieważ baliśmy się nieprzewidzianych reakcji, zaczęliśmy zastanawiać się nad sposobem zdarcia parkietu. I wtedy jeden z funkcjonariuszy postanowił zapalić kinkiet, wiszący nad interesującym nas kwadratem. To wystarczyło. Fragment parkietu z cichym szumem silnika uniósł się do góry. Przez otwór w podłodze dostaliśmy się do wąskiego korytarza, który kończył się niewielkim

pomieszczeniem, wyposażonym w stół, regały i szafy. Znaleźliśmy tam między innymi: maszynę do pisania, stemple i pieczętki instytucji polskich i firm szwedzkich, blankiety urzędowe. Poza tym duża ilość chemikalii. Był tam również sprzęt fotograficzny...

– Nie znaleźliście nic, co by mogło mieć związek z pistoletem, znalezionym w dłoni denata?

– Nie, towarzyszu pułkowniku!

– No tak... – Podpułkownik wycedził te słowa.

– Dziękuję wam... Proszę sporządzić dokładny protokół i zabezpieczyć willę oraz znalezione dowody...

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku! – major Orliński stanął na baczność, po czym skierował się do drzwi.

– Cóż, towarzyszu majorze! Zdaję się, że jeszcze jeden niewypał? Nie dość że nie wiemy, ilu członków siatki pozostało na wolności, to w dalszym ciągu nie trafiliśmy na ślad zabójcy Szerynga.

– Co do liczebności siatki, to sądzę, że nie była ona liczna. – Pozwoliłem sobie mieć inne zdanie na ten temat. – Zarówno Dargiel, jak i Bertrandt zeznają, że siatka znajdowała się w stadium organizacji... I w tym punkcie ja im wierzę. Zresztą wiemy, że nie są oni skory do organizowania dużych siatek. Im mniej ludzi, tym więcej pieniędzy będą mogli sami zainkasować.

– Macie rację, majorze! – zgodził się pułkownik.

Znów zadzwieczał telefon.

– Podpułkownik Świątek! Proszę?... Aaa, major Góralczyk! Tak, tak! Proszę przyjść! Czekam od dawna! Z chłopcem? Jeśli uważacie to za konieczne, przyprowadźcie chłopca...

Pułkownik odłożył mikrotelefon i wyjaśnił:

– Major Góralczyk przywiózł ze sobą chłopca, wychowanka Bertranda. Podobno ten chłopiec może być cennym świadkiem...

Po chwili do pokoju wszedł major Góralczyk, a za nim schludnie ubrany chłopiec. Na pociągłej, bladej twarzy o inteligentnych oczach malował się wyraźny lęk.

– Witamy cię w tym ogromnym gmachu! – Podpułkownik Świątek podszedł do chłopca i wyciągnął rękę. Chłopiec zawahał się, ale podał swą dłoń pułkownikowi.

– To jest mój znajomy, major Korczuk. – Dziecko czuło się już trochę pewniej.

– Siądź teraz obok nas i powiedz coś o sobie! – podpułkownik Świątek robił, co mógł, by ośmielić chłopca. Ale ten milczał uparcie.

– Może masz ochotę coś zjeść, może jesteś głodny?

– Dziękuję bardzo, strasznie mi się chce pić.

Podpułkownik nacisnął dzwonek. Zgłosiła się sekretarka.

– Jedną butelkę coca-coli proszę, a dla nas trzy kawy... – Przez chwilę wpatrywał się w chłopca, po czym zapytał: – Czy mógłbyś nam powiedzieć, jak się nazywasz?

– Sobański... Ryszard Sobański... – odpowiedział cicho chłopiec.

– Rysiu, dlaczego się nas boisz? Nie zrobimy ci przecież żadnej krzywdy. To nie o ciebie chodzi, a o twego opiekuna. Pan Bertrandt brał udział w sprawie, która się bardzo brzydko skończyła... Chcielibyśmy ustalić, czy ponosi on winę za to, co się stało, czy też nie. Zadamy ci kilka pytań i dobrze by było, gdybyś na nie odpowiedział.

Czy chcesz nam pomóc?... Od twoich słów będzie zależało, czy twój opiekun poniesie jakąś karę, czy nie...

Chłopiec zastanawiał się. Marszczył czoło, spoglądał na nas ukradkiem. Ale milczał. Ciszę przerwała sekretarka, wnosząc kawy, coca-colę i kruche ciasteczka. Po jej wyjściu chłopiec odezwał się wreszcie.

– Jeśli to idzie o pana Bertrandta, to powiem...

– Wiemy, że on się tobą opiekował. Jeżeli uznasz, że możesz mu swymi odpowiedziami zaszkodzić, nie odpowiadaj.

– Ja go nienawidzę...

Byliście zaskoczeni.

– Dlaczego? – Podpułkownik Świątek mimo wszystko był całkowiec opanowany.

– Bo on... bo on...

– Mów śmiało! Chcemy znać prawdę. Chcemy ci pomóc... – przynaglał podpułkownik.

– Bo on stale mnie tulił i całował... A ja tego nie lubiłem... Gdy kładłem się do łóżka, przychodził do mnie... Głaskał mnie po nogach, po brzuchu... Ja tego nie chciałem...

Major Góralczyk położył na stole łuskę pocisku.

– To znaleźliśmy w kieszeni Rysia...

Wziąłem łuskę do ręki. Była to łuska od pocisku kaliber 7,62. Takim samym pociskiem został zastrzelony Szeryng!

– Skąd masz tę łuskę? – spytałem.

– Znalazłem...

– Gdzie znalazłeś?

– W pokoju u pana Bertranda...
– Leżała sobie tam, ot tak, po prostu... Jakby ją kto rzucił?...
– Tak... Tylko przedtem w pokoju był huk. Gdy przybiegłem, żeby zobaczyć, co się stało, pan Bertrandt nie pozwolił mi wejść... Poszedłem tam dopiero, gdy on wyszedł z domu. Może dwadzieścia minut po huku... W pokoju tak dziwnie pachniało... W rogu była dziura w ścianie... Rozglądałem się dokoła i pod szafą zobaczyłem łuskę po wystrzelonej kuli... Bawiłem się nią... Potem schowałem do kieszeni...

– Majorze Góralczyk, znaleźliście otwór?

– Tak, znalazłem. Wydobyliśmy z niego pocisk. Oto on. – Major położył na stole lekko spłaszczony pocisk.

– Proszę pocisk i łuskę przesłać do Zakładu Kryminalistyki. Niech porównają z łuską i pociskiem znalezionym u Szerynga. Samochód jest do waszej dyspozycji. – Teraz zwrócił się do chłopca. – Możesz nam podać dzień, w którym słyszałeś ten huk?

– Nie pamiętam... Ale to mogło być jakieś dwa tygodnie temu... Tak dokładnie to nie zapamiętałem... – dodał usprawiedliwiającym tonem.

– Na razie, Rysiu, dziękujemy ci za pomoc... To, co powiedziałaś, ma dla nas ogromne znaczenie. Idź teraz z majorem Góralczykiem. On się tobą zaopiekuje. Później zadecydujemy, co z tobą zrobić.

Kiedy zostaliśmy sami, podpułkownik rozpoczął wędrówkę po pokoju.

– I kto by pomyślał, że tak szybko znajdziemy ten upragniony dowód. – Mówił raczej do siebie niż do mnie. – Bertrandt szykował się do zabicia Szerynga, ładował pistolet, a ten niespodziewanie wypalił... Ale to tylko przypuszczenia... My musimy mieć całkowitą pewność. Pozostaje bluff. Jak to zrobić? Mam, mam sposób. – Podbiegł do telefonu. – Proszę przyprowadzić Bertrandta! – Był podniecony. Nadal przemierzał pokój nerwowym krokiem. Obserwowałem go w milczeniu. Wiedziałem, że w takich chwilach nie należy się wtrącać. Minęło piętnaście, może dwadzieścia minut. Wreszcie zgłosił się profos z więźniem. Bertrandt wszedł do pokoju spokojny i pewny siebie. Na rękach miał kajdanki, Podpułkownik podszedł do niego i zapytał:

– Możecie mi wyjaśnić, do kogo należał pistolet, z którego zabito Szerynga?

– Nie wiem nic o żadnym pistolecie ani o Szeryngu – odpowiedział Bertrandt.

– Uprzedzam, że przyznanie się do winy będzie brane pod uwagę podczas ferowania wyroku. Mamy świadków, że znaliście Szerynga, pani Strelka...

– Ja mogę przedstawić jeszcze więcej świadków, którzy stwierdzą, że Szerynga nie znałem. – Bertrandt był arogancki.

– Możecie żartować... Lubię żartownisiów... Ale my mamy też dowody, świadczące, że pistolet należał do was.

– Ciekawe – uśmiechnął się ironicznie Bertrandt.

– Sobański, wasz wychowanek, widział ten pistolet. Jako dowód przekazał nam łuskę z wystrzelonego przez was naboju...

Bertrandt skulił się.

– On mnie nienawidził... Dlatego mnie oskarża...

– Trzeba było z nim postępować tak, by was nie znienawidził...
Deprawacja nieletnich też jest u nas karana.

Bertrandt opuścił głowę. Sprawiał wrażenie człowieka całkiem zrezygnowanego.

- Pytam jeszcze raz, pistolet był wasz?
- Tak, mój... – cicho odpowiedział Bertrandt.
- Wyście zastrzelili Szerynga?
- Tak... – To „tak” usłyszeliśmy z trudem.
- Głośniej! – krzyknął podpułkownik.
- Tak!
- Odprowadzić więźnia!

Podpułkownik z głębokim westchnieniem ulgi opadł na krzesło.

– No cóż, opinia Zakładu Kryminalistyki nie jest nam na razie potrzebna. Niech ją dołączy do akt. Mamy już mordercę, towarzyszu majorze. Zakończyliśmy sprawę. A dlaczego Szeryng zginął? Prawdopodobnie znał skrzynki kontaktowe, szyfry, kody... Liczyli na niego. Był inteligentny... Nie wzięli tylko jednego pod uwagę: że był dobrym Polakiem...